# MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 35 WARSZAWA, 29 SIERPNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.


## MASONERIA I KOŚCIÓŁ

NIE ZAMIERZAMY tu przedstawiać historii stosunków między masonerią a kościołem Katolickim w ciągu ostatnich dwóch wieków, od r. 1717 (data powstania współczesnej organizacji masońskiej, aż po r. 1937. Wystarczy stwierdzić, że masoneria walczyła z kolei konsekwentnie z kościołem katolickim, a kościół uważał zawsze masonerię za organizacj opartą na ideologii sprzecznej z wiarą katolicką i nauką kościoła.

Jeśli o sprawie wymienionej w nagłówku mówić zamierzamy, to dlatego, by zasygnalizować pewne tendencje wolnomularstwa do zbliżenia z kościołem katolickim.

Opinia publiczna wykazała pewne zainteresowanie przyjęciem, jakie zgotował legatowi papieskiemu kard. Pacellemu, rząd francuski (zasiada w nim większość masonów) w czasie jego pobytu w Lisieux i w Paryżu; grały tu niewątpliwie rolę względy polityczne, chodziło polityce francuskiej o wyzyskanie dobrej koniunktury, wytworzonej przez konflikt między kościołem a rządem niemieckim, będącym w rękach narodowego socjalizmu. Nie bez wpływu jednak z pewnością były także wzmiankowane powyżej tendencje w łonie samej masonerii.

Stwierdzając to, opieramy się nie tytko na obserwacji różnych objawów politycznych na terenie polityki międzynarodowej. Mamy przed sobą dokument w postaci książki wybitnego pisarza masońskiego Alberta Lantoine'a, noszącej tytuł *„Lettre au Souverain-Pontife"* *(Paris. Editions du Symbolisme)*. Tak, ni mniej ni więcej tylko „List otwarty do Papieża". Nie jest to tedy jakaś teoretyczna rozprawa, lecz rzecz napisana dla wywołanie pewnych następstw w stosunkach między masonerią a kościołem.

Nie jest to próba pierwsza, jak się właśnie dowiadujemy, z książki p. Lantoine'a. W czerwcu r. 1928 — opowiada autor „Listu" — wybitni wolnomularze, wśród których był sekretarz generalny Wielkiej Loży w Nowym Yorku, Ossian Lang i filozof wiedeński dr. Kurt Reichl, spotkali się w Aix-la-Chapelle z Ojcem Gruberem, jezuitą, który należał do najzawziętszych przeciwników masonerii. Nie mogło być oczywiście mowy o uzgodnieniu zasad, lecz rozmowy miały ten przynajmniej wynik, że „obydwie strony wykazały gotowość do pewnego ograniczenia polemiki i do powstrzymania się w szczególności na przyszłość od wszelkich zarzutów dyktowanych przez nienawiść i opartych na przekręcaniu faktów". Cudzysłów jest w książce p. Lantoine'a, na jego też odpowiedzialność przytaczamy wiadomości powyższe. Jeszcze silniej musimy podkreślić to zastrzeżenie, podając dalsze „informacje" tegoż autora. „Nie sądzimy — powiada on — by O. Gruber... działał z własnej inspiracji. Jezuita nie może sobie pozwolić na podobną inicjatywę, Miał on poza sobą władze swego zakonu"...

*

Autor „Listu otwartego" nie jest byle kim. Znamy go jako jednego z najwybitniejszych pisarzy masońskich we Francji. Napisał szereg dzieł. wśród których pierwsze miejce zajmuje dwutomowa historia masonerii we Francji. (*„Histoire de la Franc-Maçonnerie francaise"*). Sam się przedstawia jako mason obrządku szkockiego. Książkę jego opatrzył przedmową inny wybitny pisarz masoński, p, Oswald Wirth.

Argumenty za swoją tezą—porozumienia między kościołem, a masonerją rozwija na 200 z górą stronicach. Dadzą się one streścić w kilkunastu zdaniach.

P. Lantoine uważa masonerię za pewnego rodzaju kościół świecki i sądzi, że kościół i masoneria działają na tej samej płaszczyźnie życia duchowego człowieka. Różnica polega jedynie na

tem, iż kościół odwołuje się do Wiary, a wolnomularstwo do Wiedzy.

„nasze masońskie Królestwo boskie nie jest z tego go świata. Nie powinno ono być zakłócane przez gorączkę tłumu, ani poddawać się jego sugestii. Gdyby było inaczej, to co oznaczałoby światło, które chcemy dać neofitom? Symboliczny gest polegający na odebraniu im ich „metali" (pieniędzy i klejnotów) w dniu inicjacji, to znaczy wszystkiego, co jest wyrazem ich przywiązania do radości i konieczności właściwych profanom, oznacza, że powinni oni pozbyć się swych namiętności przestępując próg obszaru, gdzie panuje Duch. Ten obszar Ducha Kościół umieszcza w sferze nadprzyrodzonej, gdzie dusze były ważone na wagach waszego Boga; my umieszczamy go w umyśle Człowieka, który nie może liczyć na innego sędziego jak nakazy swego sumienia. Tak tedy Rozum i Wiara mówią innemi językami, lecz podlegają temu samemu natchnieniu".

Przytoczyliśmy charakterystyczny ustęp, bo daje pojęcie o argumentacji p. Lantoine'a. Usiłował on przekonać tego, do którego przemawia, że niewidzi on żadnych zasadniczych przeszkód we współdziałaniu Kościoła z lożami. Trzeba do tego dodać informację, iż ów brat Szkockiego obrządku i członek Najwyższej Rady Francji *(Suprême Conseil de France)* jest przeciwnikiem udziału lóż i poszczególnych masonów w działalności politycznej i że dlatego w dziełach swoich i pismach walczy z Wielkim Wschodem, którego głównem zajęciem jest właśnie polityka. Drugi tom historii p. Lantoine'a *(La Franc-Maçonnerie dans l'Etat)* poświęcony jest głównie zwalczaniu politykomanii Zakonu. To ułatwia mu oczywiście proponowanie kościołowi owej *Treuga Dei*, bo są usunięte wszelkie trudności polityczne. Pozostają jednak wszystkie inne, które skłoniły papieża Klemensa XII, Benedykta XIV i Piusa IX do wydania encyklik przeciw masonerii i były powodem konsekwentnej walki wszystkich organów kościoła z lożami.

*

Wystąpienie p. Lantoine' nie zostało wywołane względami teoretycznemi, nie ma ono charakteru rozważań filozoficznych. Ma powody i cele natury bardzo praktycznej czego autor „Listu otwartego" wcale nie ukrywa—chodzi mu o porozumienie się dla walki z nacjonalizmem współczesnym, którą uważą za niebezpieczeństwo zarówno dla kościoła jak dla masonerii.

Stronice poświęcone potępieniu współczesnych ruchów narodowych są pełne zgrozy:

„Oto nadeszły czasy pełna okropności zapowiedziane w Piśmie i barbarzyńcy rozprzestrzeniają się po całej ziemi jak czwarty jeździec Apokalipsy. Wobec odrodzenia Instynktu, który odnosi zwycięstwo nad naszym podwójnym apostolatem, wobec najazdu apetytów czysto materjalnej natury, które chcą ukrzyżować nasze marzenia, czyż mamy pozostać przeciwnikami? Może! Może w głębi dusz naszych, bo wasz Bóg nie może przebaczyć Aniołowi zbuntowanemu, a Anioł zbuntowany nie złoży broni. Czy mamy być wrogami? Nie!

Masoneria i kościół powinny zawrzeć zawieszenie broni. Powinien zapanować między niemi ów pokój Boży — *Treuga Dei.*

Odmalowawszy niebezpieczeństwo bolszewizmu, pomimo że ten po okresie, w którym wymagał od swych członków, by wystąpili z Zakonu masońskiego, obecnie flirtuje z tym Zakonem, rzuca p. Lantoine gromy potępienia na ruchy narodowe, dowodząc, że są one równie niebezpieczne dla masonerii jak dla kościoła.

„Nasz upadek ujawnia się codziennie. Instynkt triumfuje. Barbarzyńcy nie są już u drzwi naszych, są — między nami. Ogarnęli wszystko — sztukę, literaturę, politykę.

Hitler podejmuje walkę z kościołem, Mussolini dał papieżowi wolność, lecz uzależnił go od siebie, „*L'Action Française*" czeka tylko na dobrą okazję, by wywołać schyzmę w kościele francuskim.

Nie ma tedy czasu do stracenia. Trzeba działać, a działanie to byłoby znakomicie ułatwione, gdyby ustała walka między kościołem i masonerią.

Zwraca się tedy z gorącem wezwaniem do stron obu wysoki dygnitarz obrządku szkockiego, by zaprzestały sporów i walki:

Wolnomularze! Obowiązkiem waszym jest stać ponad partiami, tak jak jesteście ponad ojczyznami. Jesteście obywatelami świata! Wszak masoneria, jak już przed dwoma wiekami powiedział jej wielki przodek, dąży do republiki powszechnej. Niechajże nie zamieni jej na republikę koleżeńską [1]). Namiętności partyjne nie zdołały jednak zniszczyć marzeń o humanitaryźmie. Wielkość tradycji wybawiła masonerię od małości jej sług.

A Ty, kościele, jeśli mimo inkwizycji i brzydotę zbrodni popełnionych przez ogarniętych fanatyzmem Twoich wyznawców, burze życia nie zniszczyły Cię, to tylko dlatego, iż św. Franciszek dawał chleb ptakom niebieskim i że litość Odkupiciela spłynęła jak woda oczyszczająca na przerażone serce Magdaleny".

Zaklina p. Lantoine i ostrzega mówiąc „Śmierć Szatana doprowadziła by do agonii Waszego Boga"!

*

Różne wydarzenia na terenie polityki międzynarodowej—jak to już powiedzieliśmy— wskazują na to, że „List otwarty" p. Lantoine nie jest wystąpieniem indywidualnem. Należy raczej przypuszczać, iż jest on pierwszą próbą wybadania, czy urzeczywistnienie idei współdziałanie masonerii i kościoła w walce z ruchami narodowemi jest rzeczą możliwą. Za tą pierwszą próbą pójdą zapewne inne. Wydaje się bowiem, że właśnie w najwyższych kołach tej masonerii, która ma najbardziej rozgałęzione stosunki we wszystkich krajach na kuli ziemskiej (a jest to obrządek szkocki), istnieje określony i ustalony zamiar szukania porozumienia z kościołem katolickim.

Na razie nic więcej nie ma o tem do powiedzenia. Chyba to, że musi rzeczywiście „padać deszcz na świątynię", skoro „dzieci wdowy" nie odwołują się li tylko do swych współwyznawców, lecz zwracają się do instytucji, która od pierwszej chwili powstania masonerii nowoczesnej na początku wieku XVIII odnosiła się do niej nieprzyjaźnie i ostrzegała zarówno jednostki, jak państwa przed antyreligijną i antypaństwową działalnością sekty.

STANISŁAW KOZICKI

[1]) Republiką koleżeńską nazwał republikę francuską jeden z pisarzy współczesnych.

---

**Do numeru obecnego dołączamy przekazy na opłacenie prenumeraty za „MYŚL NARODOWĄ" na kw. IV oraz zaległości.**

# POLACY W DANII

Jakże mało nam wiadomo o losach wychodźctwa polskiego w Skandynawii! Interesujemy się żywo życiem polonii amerykańskiej, kilkudziesięciu tysięcy polaków z okręgu charbińskiego, polakami na Łotwie, czy w Estonii. Rodacy nasi zamieszkali w Danii traktowani są przez społeczeństwo nasze zbyt po macoszemu, a coroczne wycieczki morskie, udające się do Kopenhagi pomijają zupełnie ten, jakże ważny punkt programu. Bo każde najmniejsze skupienie polskie za granicą, to żywa cząstka Rzeczypospolitej, o której nie wolno nam jest zapominać. Nasza emigracja do Danii, to jedna z najmłodszych, datuje się bowiem conajwyżej od lat dwunastu. Jest to w całym tego słowa znaczeniu emigracja z przypadku. Wojna europejska zastała kilka tysięcy naszych robotników rolnych, zatrudnionych jak corocznie na *„saksach"* i w Westfalii. Wojna odcięła im drogę powrotu do kraju. Pozostawały zatem dwie alternatywy: — albo dać się uwięzić w znanych nam dobrze obozach koncentracyjnych, albo też uciekać, dokąd oczy poniosą. Tę alternatywę wybrali gremialnie nasi rodacy. Łodziami żaglowymi, szkunerami na pokładzie transportowców i trawlerów, jak się dało, udali się oni do pobliskiej Danii, nie znając, rzecz prosta, ani języka, ani warunków egzystencji. Trzeba przyznać, że Duńczycy przyjęli te liczne rzesze z wielką gościnnością, udzielając im w chwili najtrudniejszej azylu, wkrótce zaś po tym dając im stałe zatrudnienie na roli. Dobroć i wytrzymałość robotnika polskiego zyskała emigracji naszej już w kilka lat później wielkie uznanie władz duńskich. Pobudowali się, pożenili i dziś, po latach dwudziestu stanowią ogniwo emigracyjne najbardziej może skonsolidowane. Piętnaście tysięcy głów, to liczba, z którą liczyć się trzeba.

Staję przed kościołem w Odensee w dzień świąteczny i nie wierzę własnym oczom. Kończy się właśnie nabożeństwo, a za chwilę otacza mnie zwarta gromada rodaków, niczym w „starym kraju". Rośli są, zdrowi i zahartowani w ciągłej pracy na roli. Otaczają mnie kołem, kolejno zapraszają do siebie, zapytując o nowiny z ojczyzny. Bo jednym stałym łącznikiem jest miesięcznik „Polacy w Danii", zresztą redagowany doskonale. Jest on skrótem wiadomości o Polsce, niektóre artykuły drukowane są równolegle — po duńsku. Zapytuję o przyczyny tej dwujęzyczności, przypuszczając, że dzieje się to na życzenie władz duńskich. I tu dopiero w gawędzie na przyzbie chaty polskiej w Odensee dowiaduję się o bolączkach i potrzebach najbardziej palących naszego wychodźctwa. Rozsypało się ono po całym miniaturowym państwie duńskim. Mamy parę tysięcy rodaków w Nakskov, gdzie pracują w wielkiej stoczni, w Maribo, na wyspach Falksland i Lolland, najmniej nas liczy Kopenhaga i daleka Islandia. Dlatego może uczestnicy wycieczek morskich nie spotykają się w pięknej stolicy Danii z Polakami i nie mają wrażenia, że na ziemi tej zamieszkuje kilkanaście tysięcy naszych rolników.

Są pono gminy, gdzie jak w Czechosłowacji, znajdujemy się w większości i niejednokrotnie obieramy polskiego burmistrza. Warunki bytowania są dobre. Rodacy nasi nie skarżą się ani na brak swobód obywatelskich, ani na bezrobocie. Rolnik polski zyskał sobie tak dobrą opinię, że o braku pracy dla niego nie ma mowy. Widzę to zresztą naocznie, zwiedzając osiedla nasze w Zelandii i na północy kraju. Mieszkamy dostatnio; domki polskie, wyłącznie murowane, otoczone kwietnikami sprawiają wrażenie raczej osiedli podwarszawskich, niż wsi. Bo też Dania jest krajem o wysokiej kulturze. W najdalszych zakątkach kraju nie sposób nie spotkać pism, książek, a zwłaszcza rozpowszechnionego tu ogromnie radia. 850 tysięcy abonamentów, to cyfra w stosunku do zaludnienia Danii olbrzymia. Ale zamożność, to nie wszystko. Pozostała snać w duszy polskiej tęsknota do rzeczy wyższych, skoro dowiaduję się, że jedną z bolączek wychodźctwa, to sprawy duszpasterskie. Z dumą pokazują mi tu świątynie, wzniesione za ofiarny grosz naszych rodaków. Ale brak im duchowieństwa polskiego. Blisko 80 księży, jacy zostali przydzieleni dla Katolików (w czym wychodźctwo nasze stanowi 9/10) to Niemcy, Holendrzy i zrzadka Duńczycy. Do niedawna posiadaliśmy zaledwie 2 księży polaków. Można sobie z łatwością wyobrazić fatalne skutkl tego stanu rzeczy. Kazania wygłaszane w łamanej polszczyźnie, a jeszcze częściej — po duńsku, spowiedzie dla penitentów nie zrozumiałe i inne posługi duchowne wykonywane przez cudzoziemców — wszystko to zwolna, ale systematycznie zdążało do mimowolnego, chcemy w to uwierzyć, wynaradawiania. Gospodarze opowiadają mi o tym ze szczerym żalem, widzę bowiem że przywiązani są narówni do swego kraju, jak do wiary Katolickiej. Niezbyt dawna wizytacja J. E. Ks. Prymasa Hlonda przyczyniła się ostatnio do zwiększenia się liczby kapłanów polskich. Jest ich jednak jeszcze zbyt mało. Co się tyczy szkolnictwa, posiadamy 6 szkół powszechnych, niebawem liczba ich zwiększy się jeszcze.

Poselstwo nasze w Kopenhadze, kierowane od roku przez wytrawnego znawcę potrzeb emigracji naszej, p. ministra Starzewskiego, robi co może. Urządzają się zatem „lotne" wykłady w większych ośrodkach, tworzy się biblioteki, chóry i orkiestry. Powstają żywe pomniki polskości, jak Domy polskie w Nakskov i Maribo. Ze „starego kraju" sprowadza się prelegentów, zapoznających przez odczyty i przezrocza emigrację naszą ze stanem kulturalnym i ekonomicznym Rzeczypospolitej. Niedawno bawiła tu, gorąco przyjmowana, znana poetka, Kazimiera Iłłakowiczówna, na jesieni wybiera się do Danii w celach propagandowych piszący te słowa. Poselstwo robi zatem wszystko, aby łącznie ze Związkiem Polaków za granicą utrzymać polskość tego ogniwa emigracyjnego a czyni to w tej myśli, że wcześniej, czy później będzie ono mogło powrócić do ojczyzny. A jednak spotkawszy się na pokładzie statku z gromadką dzieci polskich udających się do kraju na ferie letnie stwierdziłem ze smutkiem, że rozmówić się z nimi nie jest łatwo. Naleciałości duńszczyzny skaziły ich mowę bardzo, to też troską duszpasterzy polskich i pełnego ofiarności nauczycielstwa powinna być właśnie młodzież, to przyszłe pokolenie polskie.

Inteligencji polskiej w Danii jest bardzo mało. Nieliczne jednostki z pośród niej zamieszkują w Kopenhadze i w Nakskov, gdzie niedawno ze

stoczni tamtejszej poszły w świat dwa nowe statki polskie „Śląsk” i „Cieszyn”. Ukochanym przez wychodźctwo jest o. Tomasz z Naestred, który poświęca każdą wolną chwilę naszym rodakom. Dziś celebruje w Kopenhadze, jutro jest w dalekim Odensee, pojutrze gdzieś na krańcach Zelandii.

Ten wyjątkowy kapłan i obywatel zasługuje na najwyższe uznanie. Nie łatwo jednak jest uścisnąć zacną dłoń o. Tomasza, bo nigdy nie wiadomo, gdzie go szukać. Dzień Trzeciego maja, czy święto listopadowe gromadzi ludność polską w świetlicach. Nigdzie bardziej jak w Danii nie wyczuwa się gorącego przywiązania naszego do ojczyzny. Chcą o niej wiedzieć dużo, jaknajwięcej, liczą uciułane grosze i żyją nadzieją powrotu.

Polacy w Danii, to najwdzięczniejsze, zdaniem moim, pole do działalności propagandowej. Chleba mają poddostatkiem, ino „wiatru od morza” ojczystego im potrzeba.

Kopenhaga, lipiec 1937. W—b.

# KUŹNIA MITÓW

NAJPOPULARNIEJSZA sztuka naszych czasów — kino, jest zarazem najpotężniejszym środkiem sugestii artystycznej, wymaga zaś od widza minimum przygotowania, tylko trochę wrażliwości, i — łatwowierności.

Krypto — indywidualizm dnia dzisiejszego znajduje swe pożywienie w tych paru godzinach, kiedy razem z romantyczną akcją (której już nie znieślibyśmy w tak naiwnej często formie ani w teatrze ani w powieści), przez obraz i przez ruch, bez długich dyskusji, wchłaniamy, połykamy cały ogrom „potrąceń”, myśli niewyrażalnych słowem, przeżywamy patos wygnany z teatru. Właśnie to, że wszystko w kinie jest lekcją poglądową, symbolizm tej sztuki światłocienia przedstawiającej stany duszy bohaterów przez odpowiednie fotografie ich stroju lub mieszkania; — jak czarna koszula i kapelusz Coopera w „Buffallo Billu”, lub wędrówka Marii przez głuche wysokie korytarze i sale pałacu Habsburgów w „Mayerlingu”; swoista magia ruchów, gestów i uproszczonych a mocnych problemów ideowych sprawia, że łatwo i bez żadnego sprzeciwu ze strony nawet najbardziej krytycznych umysłów przyjmujemy wielkie skróty pojęciowe, nieodłączne od kina. Wierzymy na słowo, że niemożliwe czyny są wykonalne, że jeden może zwyciężyć dziesięciu, — sytuacje, nawet w operze znośne jedynie przez muzykę, budzą uśmiech wzruszenia. Wszystko to, czym się teraz żywi i na czym się rozwija film, było kiedyś duszą teatru i powieści. Teatr Anglii elżbietańskiej np. bardzo jest zbliżony w duchu do najlepszych filmów t. zw. sensacyjnych, a dramat romantyczny żyje w filmie bardzo intensywnie.

Dyskusja kina odbywa się w dalszym ciągu w duszy widza także przeważnie nie w słowach, ani zdaniach, lecz właśnie w symboliczno - nastrojowej szacie, w jakiej wrażenia były podane; tu zaczyna się życie mitu indywidualnego, lub zbiorowego, w takim podłożu rośnie on i rozwija się. Idziemy do kina z potencjonalną wiarą w możliwości najbardziej nieżyciowych sytuacji i przyjmujemy je, jeśli tylko psychologiczny podkład akcji jest w porządku. Chcemy przeżywać razem z postaciami filmu ich przygody, zwycięstwa i załamania, — i jeśli ktoś „przejmuje się” obrazem, to film dociera do jego głębokiej podstawy psychicznej, możnaby rzec — do podświadomości. Co dla większości widzów w teatrze, na poważnej sztuce, jest zamknięte na cztery spusty, w filmie staje się wewnętrznie zrozumiałe przez jeden ruch, przez jeden zwrot głowy, uśmiech lub spojrzenie dobrego aktora.

Kino przemyca pod swoją pozornie łatwą formą problemy, które pozostałyby inaczej niedostępnymi dla nas. Za przykład mogą służyć „Dzisiejsze czasy”, Chaplina. Głęboka filozoficzna myśl o cywilizacji maszynowej i o deformacji przez nią człowieka, rozgałęzienia tej myśli, ukryte są pod nieraz farsowymi środkami uprzytomnienia jej. Np. kiedy Chaplin wiruje na wrotkach nad brzegiem przepaści w wielkim magazynie, — czyż to nie symbol niebezpieczeństw, jakie grożą człowiekowi rozpędzonemu na samolotach i aerodynamicznych autach — ku przepaści groźniejszej, niż piętro magazynu? To co w powieści chyba Proust odkryje naszym oczom — jeśli trafi na kogoś, co teraz... ma czas i zdrowie, jak to się ironicznie mówi, — na czytanie go — dobry aktor zasuggeruje przez swe wewnętrzne przeżywanie roli. Takie przeżywanie, które mogłoby być nazwane głębokością roli, w kinie ma zupełnie inną technikę, niż na scenie. Jeśli wymaga się w szkołach teatralnych, aby aktorzy wyobrazili sobie całe życie granych postaci, i to ma służyć za podstawę do zbudowania fragmentu życia, ukazanego przez autora w sztuce, to aktor filmowy musi dać tę samą perspektywę na postaci w sposób bardziej intuicyjny, instynktowny, mniej jasny, — bo nie pomaga mu autor słowem, lecz niemniej suggestywny. W kinie musi być większe nasycenie postaci jej przeszłością, jej życiem do momentu przeniesienia go na taśmę; robi się to przez nieuchwytne aluzje w grze, intonację słów, przez ciężki krok, przez szczególne ruchy. Jaka mieszanina lepszej przeszłości, nędznej, lecz ironicznie zwalczanej teraźniejszości — jest w roli „X 27”. Mimo jednak swojej dużej kultury aktorskiej, Marlena Dietrich w swych najlepszych rolach, wcześniejszych, nigdy nie ustępuje Grecie Garbo, która nieskończenie głęboko sięga w życie swych ról („Dama Kameliowa”!).

Tworzy się przez film legenda o człowieku, o pewnym typie ludzkim, dodatnim czy ujemnym. Film jakoś uniknął dotąd szczęśliwie — z małymi wyjątkami — szablonu w swych typach. Wiem dobrze, że zupełnie uniknąć go nie można, jednak jak na sztukę tak popularną, szablonu jest w nim bardzo mało. Ratują go pod tym względem ogromne możliwości techniczne: prawie wszystko można sfilmować, wszelkie środowiska, wszelkie nastroje. Szablon groził filmowi przed kilku laty, kiedy wyczerpywał się zasób inwencji filmów „salonowych” i, z drugiej strony, awanturniczych. Teraz przezwyciężony został przesąd, że bohater musi być ideałem piękności, i tacy aktorzy, jak Franchot Tone lub niezrównany Berry, uczą szerokie masy psychologii głębszej, niż to robili konwen-

cjonalni młodzieńcy amerykańskich filmów „z życia wyższych warstw”. Arcyciekawe problemy psychologiczne, nieraz bardzo subtelne, są coraz pewniej i śmielej atakowane — i z dobrym skutkiem — przez kino. „Buffallo Bill”, albo „Bohater”, a ostatuio „Brutal” z Victorem Mac Langlenem mogą służyć za dowód.

Kino jest kuźnią mitów, nie tylko w filmach baśniowych, — tak zresztą rzadkich obecnie — nie tylko w „Złodzieju z Bagdadu”, lecz i w najbardziej realistycznych obrazach. Dyskusja współczesności z jej całym balastem uczuciowo znanych, lecz krytykowanych przez intelekt przeżyć, odbywa się bez pomocy frazesów w dobrych filmach, np. w „Dziś żyjemy” lub „I cóż dalej, szary człowieku?”. To nic nie szkodzi, że akcja przeważnie jest skonstruowana łatwo, — inaczej być nie może, filmy zbyt subtelne — nie idą; myśli, które ona ze sobą niesie, są trwałe i zostaną. Film w stopniu daleko większym niż teatr może ukazać człowieka na tle jakichś zjawisk, dziejących się współcześnie. Tak było w „San Francisco”, gdzie bohater przechodzi na tle palącego się po trzęsieniu ziemi miasta i tragiczną wymowę zyskuje jego czarna postać, równym i zrozpaczonym krokiem idąca przez pożogę. Moment psychologicznego załamania jest uwypuklony nawet bez pokazania twarzy aktora, tylko przez tę jednoczesność zjawisk.

Każdy z bywalców kinowych ma swoje ulubione filmy, które go specjalnie „wzięły”, czasem bywa taki jeden obraz zdolny stać się osobistym mitem, częścią wewnętrznego życia widza.

Jeden odpoczywa na „Tarzanach” (ciekawe, jak szybko podświadomie tęsknoty i „niewyżyte kompleksy” współczesności znajdują swój wyraz w kinie!), inny szuka filmów naiwnych a zlekka sentymentalnych („Siódme niebo”), są tacy, którzy w tematach historycznych, lub podróżniczych znajdują siłę i rozmach, odmówione im w szarej egzystencji biurowej. Wszystkim kino daje bezpośredniość przeżycia, nieraz większą, niż teatr, gdzie rampa dzieli widza od sceny. W błogosławionej ciemności sali kinowej smuga srebrnego światła łączy bezpośrednio wewnętrzne „ja” widza z akcją na ekranie. Film pod tym względam może być porównany z muzyką, bo przenika bez pomocy słów, nastrojami linii, kształtu i ruchu, jak muzyka tonami, do osobistego życia widza.

HELENA RADZIUKINASÓWNA

# MAŁODUSZNOŚĆ „ŚPIEWAKA JUSTYNY“

PAMIĘTAMY z „Nurtu” Berenta, przywołaną z przeszłości świetnym piórem autora, scenę przywitania Karpińskiego w Towarzystwie Warszawskim Przyjaciół Nauk w listopadzie r. 1811, Z głębi prowincji przybyły, sędziwy już podówczas, poeta ukrył się między zgromadzoną na sali publicznością i trzeba było wyraźnego, głośno powtórzonego zaproszenia ze strony prezesa Niemcewicza, by się zdecydował zająć przynależne sobie miejsce przy stole między członkami.

Dlaczego tak późno i tak nieśmiało? Czy przyczyną było tu tylko oddalenie miejsca pobytu i przyrodzona pierzchliwość towarzyska „śpiewaka Justyny”?

Karpiński nal żał do pierwszego pocztu 30-tu członków czynnych Towarzystwa, powołanych jeszcze w listopadzie 1800 r., obok Czartoryskiego, Czackiego, Dmochowskiego, Lindego i in. Jak wysokie było to wyróżnienie, uprzytomnimy sobie, stwierdziwszy, że w szeregu członków Tow. nie było podówczas jeszcze ani Śniadeckich, ani Kołłątaja, ani Niemcewicza.

Swoją drogą prezes Albertrandi zawiadomił Karpińskiego o powołaniu na członka dopiero w czerwcu 1801 r. Razem z zawiadomieniem przesłał mu drukowany już tekst mowy swej na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa z d. 23.XI 1800 r., a może i drugiej, z posiedzenia dn. 9.V 1801 r. W obu tych przemówieniach rozwijał Albertrandi zadania i cele nowo założonego Towarzystwa.

Były one wagi nie bylejakiej. Przecież to zaledwie kilka lat upłynęło od katastrofy dziejowej, w której spłonął gmach Rzplitej. Gorętsze młode żywioły zaczepiły nadzieje swe o sztandary napoleońskie. Ale pokolenie starsze, ale ogół narodu trwał w prostracji, oszołomiony klęską. Tow. Przyjaciół Nauk było pierwszą, zorganizowaną na pogorzelisku próbą gromadzenia rozrzuconych resztek dawnej majętności i ratowania fundamentów rozwalonego gmachu narodowego bytu.

Z mów Albertrandego widzimy, w jakim nastroju i z jakimi nadziejami do tego przystępowano. Prezes Towarzystwa nie tai, że nadziei zmian politycznych nie widzi dla Polski żadnych; co się stało, stało się nieodwołalnie. Imię Polski zostało „przekreślone w rzędzie narodów” [1]) a naród sam, „w obcą narodów bryłę przelany”, żyć może już tylko na polu umysłowym, w nauce i literaturze; tu może gromadzić dawne i nowe kwiecie an „poważny ojczyzny grobowiec”.

Ale czy chociaż w tej dziedzinie będzie możliwe przeciągnąć byt i sławę narodu? Mowy Albertrandego obie, zwłaszcza pierwsza, wypełniona są przeświadczeniem i dowodami, że tak. Jest to możliwe,—dowodził Prezes,—bo tylko w odległych czasach i w wyjątkowych wypadkach zdarzało się tak, że barbarzyńscy zdobywcy wytępiali podbity naród wraz z językiem jego i kulturą. Naogół było inaczej. Historia wykazuje na wielu przykładach, że narody podbite mogły uprawiać nadal rozwinięte w swobodzie sztuki i umiejętność, a bywało nierzadko, że na tych polach przewyższały nawet swych zdobywców.

Tak Chaldejczycy przodowali w nauce astronomii bez względu na to, pod czyim byli panowaniem: Persów, Aleksandra czy Partów. Toż było z Grecją podbitą przez Rzymian; wiadomo, że niewolna zapanowała ona nad umysłowością rzymską przez dzieła swego geniuszu. Toż samo obserwować można w czasach nowszych na Italii.

[1]) Mowa na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, miana przez J. X. Jana Albertrandego... dn. 23 listopada 1800 r. Warszawa 1801, str. 4 i passim.

„Tak to autokracja lub wolność polityczna mało się do stanu nauk i umiejętności przyczynia".

Państwa rozbiorcze — wierzy Prezes — należą do zdobywców światłych i wielkodusznych. „Mocarstwa, które tych krain mieszkańców, tą przed tym udzielną ziemię, z pierwiastkową swoją dziedziną spoiły, te—mówię—mocarstwa cenią nauki kochają umiejętności, rozciągają do nich dzielną opiekę swoją". Pozwolą więc i nam rozwijać twórczość artystyczną i naukową, z której zresztą i same mogą mieć pożytek.

Zorganizowana praca na polu kultury i tą jeszcze — nie waha się mówca podnieść — będzie miała dla nowych naszych władców wartość, że odciągnie umysły młodzieży od „urojeń zwodniczych nadziei" [2]), od nasłuchiwań „udanych przez płochość, przyjętych przez lekkomyślność pogłosek", od liczenia na „obce przypadki", na „bystre przemiany radości w smutek, smutku w radość", słowem, zasłoni nieco przed młodą generacją uroczne nazwisko Dąbrowskiego.

Na gruncie takiego to nastroju napoły rezygnacyjnego, odrzekając się najwyraźniej jakichkolwiek zamysłów tajonych, nie mając nic „ani w zamiarach swoich ukrytego, ani w nadziejach i skutku zwodniczego", podejmowało Towarzystwo na polu kultury pracę od podstaw, stawiając sobie za zadanie: troskę o zachowanie języka (stąd Słownik Lindego), o gromadzenie zabytków (stąd wzmożony ruch bibliograficzny oraz wielka Biblioteka) i arcydzieł dawnego piśmiennictwa polskiego (stąd m. in. wydanie „Wyboru celniejszych pisarzów polskich"), wreszcie o rozwój współczesnej nauki i literatury (stąd liczne konkursy i nagrody). Wszystko to pod hasłem: „Nie zmieniło się i drga jeszcze w piersiach waszych to serce, ojczyźnie najpierwej żyjące a nigdy nie umierające; a to serce nie pozwoli, aby w zupełną niepamięć iść miała ta ojczyzna, aby jej pamiątki zagładzone były, aby jej imię hańbą okryte zostało". Inaczej mówiąc, pod hasłem, które najlepsi w owej generacji stawili przed narodem: „*nil desperandum*".

Mowę swą z tak ostrożnie i przy mnóstwie zastrzeżeń sformowanym programem przesłał Albertrandi Karpińskiemu wraz z dyplomem członkowskim i zaproszeniem do współpracy. Nie spodziewał się zapewne, jaka w odpowiedzi spadnie nań fala sceptycyzmu, niewiary, głębokiej beznadziei.

Karpiński na zaproszenie odpowiedział listem, który dotąd nie znany, winien być tutaj podany w całości [3]). Dla poznania poglądów narodowych i pesymistycznego—po rozbiorach—nastroju autora „Żalów Sarmaty" dokument to pierwszorzędnej doniosłości:

Odpis do X. Biskupa Albertrandego

(ok. 20.VIII 1801)

Nie wiem, jakiem opóźnieniem stało się JWWM Pana Dobrodzieja dnia 18 czerwca z Warszawy do mnie pisany po upłynionych dziewięciu niedzielach dopiero odebrałem. Tak to szczęście, z którem mię JWWPan Dobrodziej spotykasz, późno przychodzi, a nieszczęścia (jakiem jest słabość zdrowia mego teraźniejsza) kwapią się, chociaż nikt ich nie żądał. Przychodzę do sił i najmilszą w tych miesiącach będzie powinnością moją podziękować w Warszawie zacnemu Towarzystwu, że mnie między sobą małego wielcy pomieścić raczyli, i Prezydującemu JWWM Panu Dobrodziejowi, któryś za bytu jeszcze Narodu naszego nie posunięty na czoło, na czele ludzi najświetlejszych słynął.

Ale czytając przysłaną mi mowę Jego na pierwszem posiedzeniu Towarzystwa, gdzie tyle wyrazami prawdziwej wymowy wzruszony byłem, a razem tyle dowodami z historii bawiony i przekonywany, uważałem cel jej: ażeby zginiona Polska żyć jeszcze mogła częścią jej szlachetniejszą: rozumem swoim, któryby w dziełach sierot pozostałych wyrażony i język nasz od upadku utrzymał i potomkom naszym obraz Jej niby w pismach naszych malując, pamiątki straconej Matki zostawił.

Będąc już łaskawie do Ich powołany Towarzystwa, według przysłanego mi rozrządzenia punktu 8 do Wydziału poezji i wymowy mógłbym należeć, a tak jak w sprawie mojej odpowiadającemu darujesz mi JWWM Pan Dobrodziej, że się ośmielę niektóre myśl moje (w tym tylko, co się Wydziału mojego tycze), przeciwne myślom Jego w mowie mi przysłanej zamkniętym wyrazić.

Lekkie pióra nasze czyliż się zdołają oprzeć ogromowi Mocarstw, których po naszym podzieleniu wola stosowna do ich interesu być musi: jak Naród zagubili, tak zwolna i język nasz polski zatracić, ażeby tym sposobem każdy z nas zapominał tęsknić po Narodzie swoim, a językiem i obyczajami przywykał do nowego, który go podbił. Tak robiły dawne zwycięskie narody, — ile możności językiem, prawem i małżeństwami dla pokoju w domu podbity z swoim naród jednocząc; tak robią teraźniejsze, co widać na Czechach i Śląsku [4]), które z wiekami zapomniawszy dawnych z nami braterskich związków, zupełnie dzisiaj poniemczały i żadne od nich pismo w języku narodowym nie wyszło.

Gdyby to jeszcze Naród mój cały, jak z siebie rozległym jest, pod jednego obcego Monarchy dostał się panowanie, nazywając się Polską (że ciężej byłoby go wykorzenić), używałby języka swego, ażeby swoim w dwóchset milach osiadłym Polakom pisał! Ale widziałem, kiedy Cię na trzy części przerąbywano, Narodzie mój! [5]) Jakże myśleć można, żeby się w której z trzech życie Polski zostało! Może dłużej duch jej żywotny przetrwa tam, gdzie serce, gdzie była stolica jej, ale i to z czasem, idąc drogą natury, zagasnąć musi.

Przynajmniej Włochy dzisiejsze po upadku swoim obcych panów dostawszy, tak z piękności samej języka i dzieł w nim nieśmiertelnych, jako też i świętym uporem idąc, przy nim dotychczas zostały się i jest powszechnie we Włoszech język włoski panujący. Przynajmniej Chaldejczycy, sławni dawno z astronomii po podbiciu swoim [6]) zostali Chaldejczykami, tak jako Grecy Grekami. Wszelako kiedy rzymskie topory podcięły drzewo wolności greckiej, od tych czas kto mógł widzieć piękny jaki owoc dowcipu narodu tego, jaki widywał Platonów, Eurypidesów, Tucydydów, Demostenesów, Pindarów, Ksenofontów i tylu innych? Jeżeli niektórzy Żydzi w niewoli perskiej wsławili się, to stąd pochodziło, że Persowie narodem byli nieoświeconym.

Nasze zdarzenie inne. Niemiecki naród, od wieków dawnych słynący naukami, ma w domu u siebie wszystko, czym tylko najpolerowniejsze insze narody szczycić się mogą. Zazdroszczą im obce kraje Gessnerów, Hallerów, Klopstocków, Wielandów i tylu nieskończonych. Mając tedy na swoim gruncie najpiękniej wzrastające nauki, jakąś jest uczciwą pychą: nie zbierać kwiatków dowcipu z gruntu niewolniczego. Niemcy swoje przedniejsze pisma na angielski,

[2]) Mowa na publicznym posiedzeniu Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, miana przez J. X. Jana Albertrandego... dn. 9 maja 1801 r. Warszawa, str. 14.

[3]) Dochował się w autografie (zapewne brulion) w tekach C. Walewskiego, t. II (rkp. Pol. Akad. Umiej.)

[4]) Przekreślono: i Morawie.

[5]) Przekreślono: Ojczyzno moja.

[6]) Przekreślono: przez Persów.

francuski, włoski i insze Europy języki przetłomaczone widzą, co pewnym dowodem jest piękności ich. Cóż mają zwycięscy nasi do brania od nas w czasie niewoli naszej kiedyśmy będąc wolnymi, nie dbając o tłomaczenie pism naszych na obce języki, nic im łakomego nie pokazali? Czyliż to z latami większą dla naszych potomków ponętą będzie czytanie albo pomnażanie pism narodowych nad ponętę łask i zysków, które panujący na mówiących albo piszących językiem panującym wylewać będzie?

Język i pisma polskie, jeżeli gdzie, tedy zdaje mi się w kordonie rosyjskim najdłużej utrzymywać się mogą. Język nasz z rosyjskim tenże sam język (mało co odmieniony) słowiański jest. Dwa narody, które kiedyś jedna Matka karmiła, łatwiejsze są do ściślejszych związków między sobą, niżeli dwa narody zupełnie sobie obce. Naród rosyjski, który od dzieciństwa z bronią idzie, nie dbał dawniej, i dopiero za lat naszych zaczął smakować w literaturze: Łomonosow, Dzierżawin i kilku innych z chlubą narodu pisma swoje pokazać mogą. Monarcha i dawny państwa obywatel ceni oświecenie obywatelów nowo przybyłych, a lubiący pisać Rosjanie niektóre pisma nasze potłomaczyli, i w tym celu języka i czytania książek polskich uczą się, czego nie robią pyszni z swojej literatury Niemcy.

Wszelako pod obcym panowaniem wolny kiedyś Polak jak dobrze napisać może, kiedy mu ręce związano? Albo kto kiedy był na mówcę obranym, który się za każdym słowem zająknąć musi? Wolność to tylko w narodach rodziła wyrazy. Jak sama śmiała; i kto się na wiele rzeczy oglądał, zapewne mało dobrych powiedział. Chociaż wiernym jestem (bom obiecał) Monarsze memu poddanym, przecież pamiętam, że wyrzekając się Ojczyzny mojej, a przysięgając mu na wierność, łzy, które mi się z oczu rzuciły, dowodziły widocznie, że kłamał język przed sercem, który słowa przysięgi wymawiał; i gdyby można śmiało wymówić co czułem natenczas, wyrzekając się na wieki Matki i dobrej i nikomu nie winnej,—pięknej by to było wzorem wymowy. Nie wymowa nam tedy, ale łzy tylko pozostały! A co jeszcze okropniejsza, że i płakać czasem nie wolno.

Pomału przywykam do losu mego i już spokojniejszy siedzę w domku moim, mając z jednej strony ogród warzywny, który mię żywi, a z drugiej górę, którąm sobie na pogrzeb naznaczył. Ale jeżeliby jeszcze kto na końcu ziemi Ojczyznę moją wskrzeszał, poszedłbym tam mieszkać z idącymi. Co jeżeli być nie może, przybędę do Warszawy, ażebyśmy przynajmniej na rozwalinach Ojczyzny naszej posiadawszy, spolnie się pocieszali.

Zostaję z największym uszanowaniem

[FRANCISZEK KARPIŃSKI]

Niepodobna obronić się uczuciu głębokiej przykrości przy czytaniu tego listu. Wiedzieliśmy, że Karpiński nie należał do ludzi o stalowym charakterze patriotycznym. Pamiętamy mu jego niepomiarkowane afekty, wyrażane w wierszach do carycy Katarzyny, do Repnina. Wypomniano mu słusznie, że w zakończeniu wiersza „Żale Sarmaty” nie miał prawa składać obok lutni także i szabli na grobie ojczyzny, bo tej szabli nigdy nie nosił, a przynajmniej nigdy nie użył. Ale — myślało się—były to sporadyczne zapędzenia się poety uniesionego przez wenę pisarską.

W liście powyższym odsłania się grunt jego duszy. Jałowy to grunt, a dusza mała. Wiary w niezniszczalność plemienną narodu, w odporność i prężność twórczą kultury duchowej, w rozwój piśmiennictwa, wiary w potęgę cudowną serca „ojczyźnie najpierwej żyjącego a nigdy nie umierającego”, nie miał nawet tyle co ów cudzoziemiec, biskup zenopolitański, Albertrandi, też przecie dusza nie nadmiernego kalibru.

Omawiając w Prelekcjach paryskich przebieg walki klasyków z romantykami, zaznaczył Mickiewicz, że zwycięstwo romantyków (zbyt łatwe) spowodowane było tym, iż przeciwnicy byli generacją czczą i jałową. Trudno o jaskrawszy dowód wyjałowienia sił biologicznych, nawet wśród warstw elitarnych, generacji schyłkowej, niż go daje ogłoszony powyżej list. Jeżeli w duszy Karpińskiego tak było beznadziejnie, czegóż się spodziewać było po duszach rozmaitych Trembeckich!

Mając na uwadze, w jaki to sposób Karpiński zareagował na zawiązanie Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk i na przyznany mu zaszczyt członkostwa, trudno się mamy obronić pewnemu przypuszczeniu.

Dlaczego to na posiedzeniu 1811 r. ujawnił on takie zakłopotanie i pierzchliwość?

Może się wstydził?

STANISŁAW PIGOŃ

# DYSKUSJA ORTOGRAFICZNA

„NAJWIĘCEJ mamy w Polsce lekarzy” mawiał Stańczyk. Tyleż samo, a może i jeszcze więcej, mamy znawców pisowni. Było więc do przewidzenia, że ostatnia reforma ortograficzna tak gładko nie przejdzie. Toteż coraz to poniektóry Polak wychodzi na estradę, rozdziera szaty, a, ukazując pod piersią włochatą zranione serce, wzywa pomsty niebios na zuchwalców, którzy odważyli się naruszyć jego przyzwyczajenia.—Gwałt ortograficzny!—woła prof. Stanisław Cywiński i przedstawia przerażonemu czytelnikowi, jak oto dzikie Germany Nitsch i Szober wraz z bolszewikiem Rozwadowskim znęcają się nad niewinną polską dzieweczką. (Nawiasem mówiąc leciwa ta dama bardzo już potrzebowała gruntownej kuracji salvarsanowej, takiej właśnie, jaką jej zaaplikowało krakowskie *consilium facultatis*). Indziej znów p. Julia Dickstein-Wieleżyńska zbiera podpisy pod protestem przeciwko nowej pisowni. Lubimy na ogół widzieć swoje nazwisko uwiecznione: jedni wyskrobują je scyzorykiem na doryckiej kolumnie Partenonu, drudzy piszą kredą na parkanie, a trzeci znów podpisują taki czy inny protest, nie wiedząc nawet, jakie będzie jego brzmienie...

Przyznam się, że to wszystko mi już ostatecznie dokuczyło. Nie jestem bynajmniej entuzjastą nowej pisowni we wszystkich jej szczegółach. Co o niej myślę, wypowiedziałem już w „Warszawskim Dzienniku Narodowym i w „Podbipięcie”. Napisałem tam, że uznaję obecne ustalenie pisowni za pożyteczne, choć wiele szczegółów mi się w niej nie podoba. Nie miałem więc zamiaru jeszcze raz powracać do kwestii, którą chciałbym uważać za wreszcie zamkniętą, i trzeba było dopiero artykułu p. Michała Pawlikowskiego w nr. 58 „Myśli Narodowej”, aby przełamać tę moją niechęć do wałkowania zagadnień ortograficznych. Sądzę bowiem, że w dyskusji z tym artykułem da się może rozjaśnić trochę typowych

nieporozumień zaciemniających zwykle sprawę pisowni, poza tym mam zbyt wielki szacunek dla całego rodu „Medyceuszów” i dla p. Michała Pawlikowskiego, abym go mógł zlekceważyć jak zwykłego *franc-tireura* dziennikarskiego.

Ale, wysoko szacując wielki talent poetycki p. Michała, z góry zaznaczam, że nie uznaję jego autorytetu w sprawach ortografii. Jestem bowiem zdania, że w tej materii głos rozstrzygający mogą mieć tylko specjaliści językoznawcy. Wiem, co się na to zwykle odpowiada. Mówi się, że językoznawcy nie mają „instynktu językowego”, że raczej „twórcy językowi”, a więc poeci, powieściopisarze, publicyści powinni tu decydować, że należy zasięgnąć opinii wykształconego ogółu, który będzie przecież tę pisownię w życiu codziennym stosował itd.

Zdaje mi się jednak, że w sprawie kodyfikacji pisowni powinno się postępować tak samo, jak w ustanawianiu praw w ogóle. Wszyscy podlegamy przepisom prawnym i ponosimy ich konsekwencje, ale, choć wszyscy w mniejszym lub większym stopniu posiadamy poczucie czy „instynkt” słuszności, to jednakowoż ostateczne formułowanie ustaw pozostawiamy specjalistom prawnikom. I więcej mamy zaufania do człowieka, który długie lata spędził na studiowaniu prawa rzymskiego i ojczystego, który dokładnie zna ich dzieje, niż do najgenialniejszego improwizatora w tej dziedzinie. Podobnież w lecznictwie. Niewątpliwie intuicja znachora może nieraz zatryumfować nad wiedzą lekarza przy stawianiu diagnozy, ale nikt chyba nie sądzi, że dokładna znajomość anatomii i fizjologii ciała ludzkiego mogłaby być przeszkodą w rozpoznawaniu chorób i ustanawianiu przepisów higienicznych.

Otóż po przeczytaniu artykułu p. M. Pawlikowskiego doszedłem do wniosku, że szanowny autor, mimo wielkiej intuicji, zdrowego „instynktu” i poczucia słuszności, nie ma dostatecznj wiedzy spraw językowych, co oczywiście podrywa jego autorytet w tej dziedzinie. Nie mam zwyczaju być gołosłownym—oto więc kilka dowodów.

Autor zarzuca językoznawcom, że mają „zły słuch” i że np. „nie słyszą różnicy pomiędzy *ch* i *h* w wymowie centralno-polskiej”. Zdaniem jego słychać tę różnicę w całej niemal Polsce „jakkolwiek prawdą jest, że im bardziej na wschód, tym więcej różnica ta jest akcentowana wymową ciężkiego *h* przez uderzanie go głosem od początku”. Ależ drogi Panie, bynajmniej nie potrzeba szczególnie subtelnego słuchu na to, aby skonstatować ten banalny fakt, że rozróżnianie dźwięcznego *h* od bezdźwięcznego *ch* istnieje w polszczyźnie tylko na Śląsku, w wąskim pasie pogranicza czeskiego i na obszarze etnograficznie ruskim (małoruskim i białoruskim). Sam, jako że na Wołyniu urodzony, doskonale we własnej mowie te spółgłoski odróżniam i doskonale słyszę, kto i kiedy je odróżnia. Niewątpliwie i p. Pawlikowski je odróżnia, ale niesłusznie swoją i swego otoczenia wymowę na niemal całą Polskę rozciąga. Możemy ubolewać, że większość Polaków dźwięku *h* w swoim zasobie spółgłosek nie posiada, ale na to nic nie poradzimy. Ba, więcej nawet, są okoliczności w których np. małopolanin w y m a w i a ten dźwięk, ale go sobie n i e u ś w i a d a m i a np. w imieniu Bohdan, albo w zestawieniu „Duch Boży”, gdzie wyćwiczony fonetyk słyszy: *duhboży*. Następstwem tego nieodróżniania są tak częste błędy ortograficzne, polegające na mieszaniu *h* i *ch*, dalej coraz to powtarzające się propozycje różnych „reformatorów”, aby skasować *ch* i pisać wszędzie *h*, a więc i *hemia* i *Hrystus* itp. Ostatnimi czasy słyszy się często powtarzane czcigodne nazwisko Sapieha, otóż w ustach większości Polaków brzmi ono: *Sapiecha*, a w celowniku i miejscowniku *Sapiesze*, jak *mucha*, *musze*.

Są to wszystko dla każdego polonisty banały, które wstyd przypominać, to też kiedym czytał wywody p. Pawlikowskiego na ten temat, to mimowoli przychodziły mi na myśl różne znachorskie określenia chorób, jakieś zapieczone wątroby, podchodzące do gardła macice, gnijące wątpia itp.

Źle zatem jest z fonetyką autoru, ale nie lepiej i z innymi działami gramatyki, a więc np. z morfologią. Niemal jednym tchem pisze on „*dokonują*“, co jest poprawną choć prowincjonalną formą, i „*dokonywującemi*”, co jest szpetnym, paskudnym, barbarzyńskim błędem. A tymczasem należało napisać: *dokonywają* i „*dokonywającemi*” (czy: dokonywającymi), bo czas teraźniejszy brzmi: *dokonywam*, *dokonywasz* ...*dokonywamy* ...*dokonywają*. (Na pociechę p. Pawlikowskiego mogę dodać, że podobny błąd znalazłem również w broszurze p. Cywińskiego na str. 25).

A jakżeż jest ze składnią autora? Tu błędów nie ma, ale jest za to „znachorskie“ wyjaśnienie. Zwrot: „nie zrobię *nic*” autor uważa za poprawny (całkiem słusznie), za pewną „zdobycz językową” polegającą na wyłamaniu się spod prawidła, na użyciu formy „niewłaściwej” we właściwym miejscu. „Właściwym” bowiem zwrotem według autora będzie: „nie zrobię *niczego*“, ponieważ wiadomo, że po przeczeniu musi być dopełniacz a nie biernik. Otóż każdy, kto zna trochę dzieje języka polskiego, wie, że *nic* jest dawną formą dopełniacza i że „wyłamanie“ się spod reguły jest tu tylko pozorne. Wielokrotnie o tym pisano w „Poradniku Językowym“ i w „Języku Polskim“, a ostatnio prof. St. Szober poświęcił tej kwestii osobny rozdział swej doskonałej książki p. t. „Na straży języka“ str. 113 — 117. Tak więc „instynkt“ językowy dobrze pokierował piórem autora, ale o ileż by było lepiej, gdyby ów instynkt był jeszcze poparty gruntowniejszą o języku wiedzą...

Widzimy z tych przykładów, że w sprawach gramatycznych p. Pawlikowski nie jest zbyt doświadczonym doradcą, toteż trudno mu zaufać, kiedy w pisowni zaleca powrót do „stanu pierwotnego, który był lepszy“. Do stanu pierwotnego — ale jakiego? Któraż to pisownia była najlepsza? *Kwestyja*, *kwestya*, *kwestja*, czy *kwestia?* *Dobrymi* ojcami, stołami, a *dobremi* matkami i dziećmi, czy też tylko: *dobrymi ojcami*, stoły zaś przenosimy do przedziału dla matek i dzieci? *Z powrotem*, czy *spowrotem?* (W „Małym Dzienniku“ z dn. 29. IX. 1935 r. znalazłem nawet: *Miłe spożytecznem*). P. Pawlikowski w te szczegóły nie wchodzi, powiada tylko, że to co jest obecnie, to mu się nie podoba. P. Cywiński jest bardziej ścisły i przeciwstawia obecnej pisowni, pisownię Akademii z r. 1918. Nic dziwnego, najlepiej się nam podoba to, do czegośmy się przyzwyczaili w młodości.

(Dok. nast.) ARTUR CHOJECKI

# NA WIDOWNI

„Ku stałemu ustrojowi państwa polskiego".—Trudności realizowania monarchii. — Dynastia napoleońska i jej kapitał uczuciowy.

RÓWNO mniej więcej przed rokiem ukazała się praca prof. Dubanowicza, zmierzająca swemi myślami „ku stałemu ustrojowi państwa polskiego". Wywołała ona stosunkowo bardzo słabe echo i dla tego wydaje mi się jednak słusznem poruszone przez nią problemy te raz przypomnieć.

Weszliśmy dzisiaj w historyczną fazę pewnego lekceważenia myśli i intelektu a gloryfikowania czynów i siły. Poeta, który radził uderzyć „w czynów stal", niewątpliwie dzisiaj nie entuzjazmowałby się naszymi gloryfikatorami czynów. Czyn musi być świadomy, a siła czemś kierowana. O tych prawdach dziś się zapomina i, gdy chodzi o państwo, bardzo niemądrze wierzy się, że samo ujęcie jego aparatu i bezgraniczne jego poszerzenie już będzie lekarstwem na wszystko. Ale dobrze jest sobie uprzytomnić, że lekarz kurujący samem tylko „jakoś to będzie" i improwizujący własne leki na chybcika, napewno nikomu nie pomoże, a i sztuki swej w dobrem świetle nie przedstawi.

Gdy zaś sam aparat państwowy szwankuje i gdy jedną z wielkich potrzeb dnia jest jego naprawa i budowa nowego państwa, wszelkie publikacje na ten temat winny być uważnie studiowane i uważnie przemyślane. Modny krzyk totalny i stukot maszerującej falangi koszul nigdy nie zakryje pustki treści i ideowego błędu swoich założeń. Sam w sobie nie nazbyt w stylu naszej cywilizacji, aby zwyciężyć, musi się reklamować geniuszem, a gdy go niema, jest nędzną parodią. Zawsze zaś jest pewnego rodzaju *malum necessarium* i ambicją Polski, zwłaszcza po tylu niefortunnych próbach ostatnich, winno być: ominąć Scylle i Charybdy bolszewizmu, hitleryzmu, a nawet mimo wszystko inne, także i faszyzmu, i bez tych bolesnych i niebezpiecznych przygód dosterować w końcu do jakiejś bezpiecznej państwowej przystani. O to chodzi prof. Dubanowiczowi i jako taką przystań pokazuje nam monarchię.

O ile głośno u nas o zadaniach państwa, jego granicach i prawach—o tyle cicho o jego formie. Pytanie: — monarchia czy republika, nikogo właściwie dziś nie pasjonuje. Nie jest to wprawdzie słuszne, ale jest zrozumiałe i u większości ludzi dyktowane jaknajzdrowszem przeświadczeniem, że chwila obecna stawia przed Polską zbyt wielkie wymagania i że tysiące rzeczy są na teraz aktualniejszymi do zrobienia. Monarchia nie jest jakiemś wszech-leczącem *panaceum* i stąd sprawa jej nie jest u nas ani paląca, ani ważna. Nie jest ważna także i dlatego, że nie mamy dynastii, około której moglibyśmy uczuciowo oprzeć wyrozumowaną jej ideę — a ustrój ten w przeciwieństwie do innych tylko w części jest teorią, a wybitnie praktyką i realnością. Może to ostatnie co piszę nie jest zbyt jasne, ale chodzi mi o to, że do uruchomienia, że tak powiem, monarchii nie bardzo może wystarczać sztuczna koncepcja jakiegoś chwilowego: stań się — ale, że ten ustrój wymaga dla swego zakorzenienia się i wogóle zaczęcia,—czasu, człowieka i różnych realjów, które nie zawsze chwila historyczna daje.

Nie sposób jednak nie przyznać racji prof. Dubanowiczowi w jego ostatecznych wnioskach. Mojem zdaniem, również stałość ustroju może zapewnić Polsce tylko monarchia, która jest najwłaściwszym naszej cywilizacji państwowym ustrojem. Nie wyklinam demokracji Aten, ani Szwajcarii, ale jednak monarchia stanowczo najbardziej utrafia w styl cywilizacji łacińskiej i w hierarchiczny styl katolickiego kościoła. Polska obok Anglii i Węgier wytworzyła w ciągu wieków oryginalny typ państwowy, będący jakby fuzją ducha monarchicznego z republikańskim. I ruch narodowy o tej spuściźnie pamiętać powinien i o jego kodyfikacji ideowej w konstytucji 3-go maja.

We wszelkich dyskusjach o monarchii pamiętanie o bardzo specjalnej tu tradycji jest konieczne. Nie może być bowiem mowy w jakimś monarchiźmie polskim, o kroczeniu śladami „*Action Française*". Legitymizm francuski nie jest prądem uniwersalnym i nim być nie może. Monarchia Ludwików jest wspaniałą budowlą w skali europejskiej i Wersal oddziałał potężnie i na inne narody, ale jednak one wszystkie mają własne drogi. Państwo Polskie z biegiem swoich dziejów stało się rzeczpospolitą z królem na czele i ten swój charakter winno w przyszłości odzyskać. W myśleniu więc polskiem korona jest naprawdę ukoronowaniem całości i jej wykończeniem. Nic więc dziwnego, że dzisiaj w rozważaniach ustrojowych jeszcze o niej głucho—jest to niewątpliwie reforma końcowa i jest jeszcze na nią w naszych warunkach czas. Jeśli chodzi jednak np. o mnie, to stanowczo jestem za chociażby nierychłem i późnem, ale w każdym razie przywróceniem państwu polskiemu jego wiekowego majestatu korony.

Za nierychłością całej tej sprawy, choć tak niebagatelnej przemawia jeszcze sama trudność dynastyczna. Gdy swego czasu „Głos Monarchisty" p. L. Gembarzewskiego urządził ankietę w sprawie monarchii, zabrałem w niej głos i napisałem mniej więcej to samo co teraz; podniosłem także i najistotniejszą tutaj bolączkę dynastyczną — snując swoje pomysły jej zaradzenia. Warto jednak koniecznie pamiętać, że cała trudność tego zagadnienia leży nie w kłopocie wyszukania odpowiedniej dynastii i jej ewentualnego zaaklimatyzowania się — a w konieczności znalezienia nieprzeciętnego człowieka. Dynastia bowiem nie jest martwym tworem, czy instytucją, która powstaje za jednem pociągnięciem pióra, ale czemś co powstaje organicznie. Ktoś mierny jej nigdy nie założy, zwłaszcza w warunkach tak trudnych jak nasze. Pierwszy król musi być zawsze k i m ś, a o k o g o ś nie zawsze łatwo. Zwłaszcza nie łatwo, gdyby miał to być jakiś importowany cudzoziemiec. Dynastie belgijska i rumuńska przyjęły się świetnie, ale zarówno Leopold I jak Karol I byli ludźmi o silnej indywidualności i wielkiej woli panowania. W jeszcze trudniejszych od nich warunkach Ferdynand Koburski ufundował dynastię w Bułgarii, ale znowu był to także ktoś stworzony na monarchę w każdym calu. Znalezienie takiego człowieka jest rzeczą trudną i nieraz same zdolności tu nie wystarczą, ani Aleksander Kara, ani Aleksander Battenberski mimo tylu danych, tronów dla siebie nie utrzymali i dynastji nie założyli.

Otóż największą trudnością wszelkiego monarchizmu jest na dzisiaj brak człowieka. Piękno

idei samej tu nic nie pomoże, gdy ewentualni kandydaci to wszystko niemal ludzie pokroju Edwarda, czy raczej Dawida Windsora, markiza Cavadonga, czy różnych szwedzkich Lennertów, Bertilów i Karolów. Tam gdzie dynastia już jest — król, czy następca tronu może w ostateczności bawić się i zawodzić opinię, ale tam gdzie dynastię się tworzy, tego rodzaju kandydatury skończyłyby się operetką. Polska już raz przeżyła taki upokarzający epizod — ucieczkę Walezego.

Zresztą odrzućmy te jaskrawe może przykłady. Jest szereg książąt, którzy siedzą cicho i w których może nawet drzemią wielkie talenty, ale niestety to zawsze znak zapytania W owej ankiecie monarchistycznej, o której wspomniałem jako możliwe dla Polski dynastie wskazałem Czartoryskich i Bonapartych przyczem obok różnych argumentów rzeczowych, u tych ostatnich podkreśliłem specjalnie jako wielki plus młodość reprezentanta rodu. Bo naprawdę wybrać sobie w głowie dynastię nie tak bardzo trudno, ale znaleźć człowieka — ogromna sztuka. Tę trochę uwag właściwie w zupełności wyczerpuje sprawę monarchii w Polsce tak jak ona jest „na widowni” dnia dzisiejszego i na tem możnaby śmiało poprzestać, — ale korci mię raz jeszcze zachwalić ową napoleońską dynastię, którą dla Polski wybrałem i którą w razie koronowania naszego państwa najchętniej bym widział i wiwatował.

Jest u nas ogromny kult napoleoński i ogromna sympatia dla epoki jego orłów, uwieczniona w tysiącach pamiątek, wspomnień i obrazów. W krwi naszej niejako żyją te nieśmiertelne czasy. Sto lat przeszło temu pod Lipsk i Berezyną z entuzjazmem wprost wyjątkowym pociągnęło całe pokolenie i dzieciom i wnukom później wpajano miłość do „cesarza”. Stary Rzecki z „Lalki” jest rozczulającym tego przykładem. Nie ma napewno nikogo z nas (przynajmniej w rdzennej Polsce, bo z Kresami było inaczej) którego przodkowie nie przelewaliby krwi w Hiszpanii z Krzysiem Cedrą, pod Raszynem z Rafałem Olbromskim, w Lombardii z Markiem Kwiatkowskim... Godna antycznej tragedii groza moskiewskiego odwrotu żyje nie tylko w panoramie Kossaka. W każdym dworze polskim z jakiegoś obrazka patrzy cesarz i od dziecka oczy uczyły się czcić i kochać jego przedziwne arabskie białe wierzchowce, trójgraniasty kapelusz i szarą kapotę... i napewno w pewnym sensie Napoleon jest bardziej polski niż francuski.

Pisano o nim rozmaicie i dokonywano różnych rewizji; rozmaicie też nam te czasy tłomaczono i nieraz robiono niepotrzebnie wielki zamęt — a jednak sens ich pozostał dla nas jasny i prosty. Giertych tak skądinąd rewizjonistyczny i surowy zostawił im w swojej ciekawej książce cały dawniejszy ich splendor. Można też śmiało stwierdzić, że ze swojego nimbu i w dalszych czasach nic nie utracą, a chociażby nawet i bardziej krytyczną miarkę przyłożyć do oceny ich politycznych rachub, to i tak zawsze zostanie im ich największy walor, że ta wojenna epopeja odrodziła i zahartowała we krwi, zdegenerowany za Sasów naród. Bojowa wartość wojska polskiego z tych czasów przede wszystkim się wywodzi. Sobieskiego i Wiedeń odgrodziły od niej Kliszowy i niesławne burdy saskie. Epoka upadku była równocześnie odrodzeniem; — zaczęło się ono Stanisławem Augustem, obiadami czwartkowemi i szkołą kadecką a skończyło Lipskiem i Berezyną. I dlatego wszystkiego dynastia „małego kaprala”, nieudanego i najszczerszego bożyszcza całego ówczesnego pokolenia Polaków mogłaby napewno liczyć na szybką i wielką miłość potomków tych, co swoje orły sprzęgli kiedyś ze złotemi.

KAROL STEFAN FRYCZ

# GŁOSY

## „ENDECJA”

Ponieważ dziesiątki czasopism żydowsko-masońskich uporczywie rozpowiadają klechdy o „Endecji”, należy od czasu do czasu powiedzieć im, że kłamią i młodszemu zwłaszcza pokoleniu, słabo się orientującemu, wyjaśnić pokrótce prawdę. Żeby nie zadawać sobie trudu, powtarzamy tutaj treściwy artykuł sen. Stan. Kozickiego z nr. 227 „Warsz. Dziennika Narodowego”:

Przezwisko powyższe zostało wymyślone przez przeciwników Narodowej Demokracji w r. 1905 w czasie największych walk między ruchem narodowym a socjalistycznym, na tle t. zw. rewolucji rosyjskiej. Powtarzają je przeciwnicy nasi od tego czasu stale, nadając mu treść coraz bardziej pogardliwą. Bo — powiadają — wszyscy Polacy powinni być patriotami, kochać swą ziemię i swoją przeszłość. Lecz obrzydliwą jest rzeczą, gdy Polacy, wbrew swej tradycji, odnoszą się z nienawiścią do innych narodów, gdy są antysemitami, gdy sprzeciwiają się idei „unii“ z narodami zamieszkałymi obok nich, gdy chcą zachowania przywilejów klasowych, gdy są przeciwni zasadom „postępu“ gdy—wreszcie—są zawziętymi „moskalofilami” i t. d.

Warto się zastanowić nad samym przezwiskiem i nad treścią, którą mu nadają przeciwnicy nowoczesnego ruchu narodowego w Polsce, bo to zastanowienie musi nas doprowadzić do wniosku, że zarzuty wysuwane przeciwko niemu, są, pośrednio, uznaniem jego wartości.

„Endeckość“ nie polega wcale na żywieniu uczuć nienawiści do innych narodów, lub też na uważaniu swego narodu za najlepszy; treścią jej jest jedynie przeświadczenie, że w polityce rzeczą decydującą jest interes własnego narodu, że do tego interesu w obecnych czasach zaostrzonej walki między narodami trzeba strzec i bronić.

Ten sam interes musi określać nasz stosunek do narodowości zamieszkujących na naszej ziemi obok nas; pierwszą dziś rzeczą jest wzmocnienie żywiołu polskiego na terenach o ludności mieszanej, a nie zabieganie o „sympatię“ narodowości innych i szukanie z nimi zgody za wszelką cenę. Jesteśmy tego zdania, że w Europie dzisiejszej nie wystarcza sentymentalny patriotyzm, że potrzebny jest ruch narodowy (nacjonalizm) oparty na zasadach, które już przed kilkoma dziesiątkami lat ustalili i wyjaśnili Balicki („Egoizm narodowy“) i Dmowski („Myśli Nowoczesnego Polaka“).

Te same wskazania odnoszą się do stanowiska wobec żydów. Musi ono być oparte na realnych faktach. takich jak odrębność żydowska, posiadanie przez żydów własnej polityki, sprzeczność interesów istniejąca między Polakami i żydami, zarówno w różnych dziedzinach życia wewnętrznego w naszym kraju, jak i na terenie międzynarodowym.

„Endeckość“ nie polega dalej na przeciwstawianiu się inseresom „ludu“ i „postępu“, lecz tylko pewnym, uformowanym w wiekach XVIII i XIX pojęciom o tych interesach, tym pojęciom, które są podstawą programów socjalistycznych i radykalnych, pojęciom dziś przestarzałym, zacofanym i usuwanym z umysłów narodów współczesnych. Nasz ruch narodowy reprezentuje wiernie prawdziwe interesy warstw ludowych, na tych warstwach faktycznie się opiera, jest zgodny z ich wierzeniami, instynktami i poglądami.

Kto widział obchody sierpniowe Stronnictwa Narodowego, ten nie może mieć co do tego najmniejszych wątpliwości. Chłop polski i robotnik polski są urodzonymi i instynktownymi narodowcami, są oparciem ruchu narodowego w Polsce.

„Endeckość“ nie jest synonim „kołtuństwa“ i zacofania, jak to piszą chętnie gazety socjalistyczne i radykalne, bo jako najwierniejszy wyraz prądów narodowych należy do kategorii najbardziej spółczesnych ruchów społecznych w Europie.

„Moskalofilstwo endeckie“, jeśli zbadać dokładnie treść tego zarzutu, wyraziło się w tym, że w okresie poprze-

dzającym wielką wojnę (1914—1918), w czasie tej wojny i po jej zakończeniu Demokracja Narodowa stanęła wiernie przy wielkiej tradycji myśli politycznej polskiej, wyrażającej się w twierdzeniu, że Polska może istnieć tylko przy mocnym oparciu się o morze. Jeśli zaś miała Polska odrodzona posiadać wybrzeże Bałtyku, to trzeba było stanąć przeciwko Niemcom i pójść ze wszystkimi, którzy walczyli z Niemcami—nawet z „Moskalami". Oto jest istotna treść „moskalofilstwa endeckiego".

Te wszystkie rzeczy i cały szereg innych sprawiają, że we współczesnym ruchu narodowym polskim te pierwiastki mają istotną wartość, są twórcze, i wyrażają nowoczesność tego ruchu, które przeciwnicy, wykoszlawiwszy ich treść, nazywają „endeckimi".

Odrzucamy też wszystkie „poprawki" do zasad, na których opiera się nasz ruch narodowy. Zasady te wytrzymały próbę czasu. Muszą one być oczywiście rozwijane, uzupełniane, musi na ich podstawie być budowany program działania, przystosowywany stale do zmieniających się warunków, lecz to nie jest odrzucaniem przeszłości, lecz jej kontynuowaniem. Jesteśmy zwłaszcza przeciwni wszelkim kompromisom, polegającym na odstępstwie od zasad w imię celów praktycznych i aktualnych.

Jeśli stosunki w Polsce ulegają przemianie, jeśli ruch narodowy robi coraz większe postępy, jeśli nawet przeciwnicy dotychczasowi przejmują pewne jego wskazania, lub zmieniają o nim zdanie, jeśli obserwujemy zjawisko pewnej „konsolidacji" około zasad tego ruchu, to zawdzięczamy to nie odstępstwom i ustępstwom, lecz temu właśnie, „że stara endecja" trwa uparcie przy tym, co stanowi istotę ruchu, bez czego straciłby on całą swoją wartość i znaczenie dla narodu i dla jego przyszłości.

Wniosek nasz jest krótki i prosty—istotę współczesnego ruchu narodowego w Polsce stanowi właśnie jego „endeckość". Gdyby odjąć mu cechy tej „endeckości", przestałby być ruchem politycznym, zdolnym do przetworzenia stosunków w Polsce i postawienia jej w szeregu narodów idących ku potędze i lepszej przyszłości a stałby się nastrojem, sentymentem bez waloru politycznego i bez wpływu na przyszłe losy narodu polskiego...

## NOWA FAZA OZN

Od chwili pierwszych wypowiedzeń się płka Koca w sprawie ideologii projektowanego Obozu Zjednoczenia Narodowego minęło sporo czasu. Powolność realizacji tłumaczono potrzebą dojrzewania myśli przewodniej, konfrontowania jej z rzeczywistością. Opozycja, wypowiadając tę rzeczywistość w sposób nieraz bardzo dosadny, musiała zrobić pewne wrażenie w sferze inicjatorów, ostatnia bowiem enuncjacja twórców OZN, wygłoszona w postaci wywiadu przez Szefa Sztabu OZN płk. Kowalewskiego, bardzo odbiega od linii poprzednio kreślonej.

Ze słów płk. Kowalewskiego wynika, że OZN nie ma zamiaru przeciwstawiać się „fołksfrontowi". Organizować będzie „demokrację", aby przybrała postać „demokracji-kierowanej".

Trzeba jednak przytoczyć dosłownie niektóre powiedzenia, są bowiem zbyt ogólnikowe, aby je można było streszczać.

Oto przykład:

„Zjednoczenie—mówił płk. z namysłem—nie jest celem samo w sobie. Przez Zjednoczenie chcemy uzyskać przewagę moralną i polityczną, a by móc pchnąć naprzód rzeczywistość polską i dojść do naszego celu ostatecznego — musimy polskę podciągnąć wzwyż".

Na pytanie, czy OZN oprze się na prawicy, płk. Kowalewski odrzekł w ten sposób:

„Granice Obozu możnaby wytyczyć albo na prawo — wtedy powstanie front ludowy, albo na lewo — wtedy powstanie front narodowy. Ale jeśli granice te wytyczymy szeroko i na lewo i na prawo—wtedy dopiero będziemy mieli front zjednoczenia".

„Powszechny dziś w Polsce radykalizm [?] rozszerza nasze granice bardzo daleko na lewo. Nacjonalizm instynktów narodu polskiego rozszerza nasze granice nie mniej daleko na prawo".

Widocznie pytający chciał poznać konkretnie te granice, bo nastąpiło wyjaśnienie:

Pan płk. zamyślił się, a potem jakby w formie wyjaśnienia dodał:

„Widzi pan, wynika to ze specjalnej sytuacji jaka w Polsce istnieje, Polska jest krajem, w którym ugrupowania narodowe mają skrajnie radykalny program gospodarczy i społeczny, a największa nasza partia radykalna jest przecież narodowa, gdyż pierwszym słowem jej oficjalnego tytułu jest słowo „Polska".

Zmiana kierunku — jak widzimy—jest nagła i bardzo... radykalna. PPS stanęło odrazu w rzędzie ugrupowań narodowych wskutek tego, że ma w szyldzie literę P. Sądzimy jednak, że z tym kluczem z abecadła możnaby pójść dalej, istnieje bowiem także grupa Polska Partia Komunistyczna. BBWR nie głosiło haseł narodowych, a jednak od PPS się odsunęła.

Są to rzeczy nowe. Nie wchodzimy w to, czy są one wynikiem nowej orientacji wobec pogróżek fołksfrontu, czy też leżały one w w planie od początku i czekały swej kolejności. To tylko pewna, że inicjatorzy zabrnęli w bezdroża, zaczarowani koliskiem błędnych ogników, jak to bywa na trzęsawisku.

## SYMPTOMATYCZNE ZJAWISKO

W piątek ubiegły członkowie Stronnictwa Narodowego w Łomży postanowili przeprowadzić akcję bojkotową. Stawili się więc w liczbie około pięciuset ludzi i poczęli informować przechodniów o szkodliwości handlu żydowskiego. Akcja ta, nie przybierająca form agresywności sprzecznej z kodeksem karnym, wywołała gwałtowną reakcję żydów, którzy pozwalniali z pracy, z fabryk swych (cegielnia, fabryka narzędzi rolniczych itd.) i warsztatów pracowników Polaków i pod groźbą utraty zarobku zmuszali do wzięcia udziału w antynarodowych demonstracjach. Aby zaś dla powyższego planu znaleść jakie takie formy, czy pozory innej akcji, zwrócili się kapitaliści żydowscy i żydowskie drobnomieszczaństwo, a więc dwie warstwy, dla których to marksistowski język ma wielką pogardę, do miejscowego PPSu o pomoc. Socjaliści chętnie pośpieszyli z pomocą kapitałowi żydowskiemu, sformowali pochód i udali się na ulice miasta, by rozpraszać narodowców walczących o chleb i pracę dla głodnych rzesz bezrobotnych Polaków. Cała nienawiść ginącego socjalizmu do nowego, tworzącego się oblicza Narodu i serwilizm członków PPSu w stosunku do interesu żydowskiego przejawiły się w pełnym furii napadzie na akademika Aszofta i przywódcę ziemi łomżyńskiej Józefa Przybyszewskiego, który w walce o lepsze jutro Polski swobodnej już od bezrobocia, przebył wiele miesięcy w więzieniu i otworzył listę izolowanych w Berezie Kartuskiej.

To są fakty. Niezrozumiałe już dzisiaj a takie, którym trudno będzie dać wiarę kiedyś, tak jak nam dzisiaj trudno uwierzyć, że w latach apuchtinowskich prześladowań w dobie popowstaniowej rewolucyjna młodzież akademicka pod wpływem socjalistycznej agitacji gorąco protestowała przeciw śpiewaniu pieśni w języku ojczystym, nazywając je po chamsku „świństwem" a intonowała jakąś rosyjską *„Dubinuszkę"* (patrz wspomnienia sędziego Kozerskiego w „W. D. N." — niedziela 22.8.37).

Szkody, jakie poczynił polityce polskiej międzynarodowy socjalizm, są duże, ale szkody jakie poczynił duszy polskiej — straszne. Na szczęście organizm narodowy wykazuje tak imponującą zdrowotność, że szkoła marksistowska stanowić będzie kiedyś w historii naszej fragment jedynie, znaczony brudną, niechlujną, żydowskiego gatunku plamą. Plamy tej zatrzeć w żaden sposób nie będzie można we wspomnieniu przeszłości, ale się do niej i nie będzie myślą powracać, zwłaszcza iż w życiu i miejsca wkrótce nie zostanie po potwornym w swoim wyrazie schorzeniu.

Obecnie zanotować nam jeszcze wypada zjawiska wielce symptomatyczne, może przecież częste ich ukazywanie przyczyni się do tym szybszego ozdrowienia całości naszego życia. Tak nie stać nas na zwłokę!

# NAUKA i LITERATURA

## „ROCZNIK LITERACKI"

CZYTELNIK, zajmujący się poważniej sprawami literackimi, dowie się z przyjemnością, że ukazał się nowy tom „Rocznika Literackiego" za rok 1936 pod red. Zofii Szmydtowej, a nakładem Instytutu Literackiego (1937, str. 280).

Rocznik otwiera artykuł Karola Irzykowskiego o „Autobiografizmie". Rzecz napisana na poziomie rozprawki maturalnej. Zdaje się, że autor nie jest nawet poinformowany, iż na ten temat drukowany był szkic w jednym z tomów „Nauki Polskiej".

Sumaryczny bilans, jaki można wyciągnąć z tematów poruszanych przez poszczególnych autorów, jest taki, że jednak daje się zauważyć pewna, choć bardzo nieznaczna, poprawa w dziedzinie naszej produkcji literackiej. Może to przypisać temu, że w niewielkim wprawdzie stopniu, ale zahamował się rozpęd inwazji kobiecej na tereny produkcji literackiej.

W dziedzinie powieści czy wśród nowel, jakie się ukazały w roku sprawozdawczym, nie można zanotować utworu naprawdę wybitnego. Z pośród utworów referowanych p. Piwiński wysuwa na czoło powieść młodego autora Tadeusza Brezy p. t. „Adam Grywałd". Referent twierdzi, że jeśli jest to nie jedyny, to napewno najznakomitszy przykład wpływu Marcelego Prousta (autor francuski żydowskiego pochodzenia, mieszaniec, dop. mój) na powieść polską. Mimochodem dodajmy, że jedna z firm księgarskich zaczęła wydawać dzieła zbiorowe Prousta w tłumaczeniu Boya. Czy to naprawdę rzecz najpilniejsza dla kultury polskiej w dziale przekładowym, czy też chodzi o snobów z „elity" i czytelników żydów, korzystających z polskiego języka, a nieznających francuskiego? Referent działu powieściowego pisze, że „miarą wartości i niezwykłości książki Tadeusza Brezy jest to, że nastręcza tyle tematów do dyskusji... ale wszyscy ludzie tej powieści są antypatyczni, nie wyłączając nawet opowiadającego o nich kronikarza-narratora".

Na polu wznowień—urodzaj: Prus, Brzozowski, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Orkan, Kraszewski, Rostworowski. A przy tym rzecz charakterystyczna: wznawiają autorów polskich księgarnie Łomży, Katowic, Pelplina, natomiast świeci nieobecnością kresowe Wilno i Poznań, ongi ośrodki, gdzie kwitła produkcja książki polskiej.

Obfity rynek przekładów można scharakteryzować słowami St. Kołaczkowskiego, zastosowanymi do tłumaczeń z literatury skandynawskiej: „brak jakiejkolwiek polityki wydawniczej, brak jakichś poważniejszych ambicyj i chęci odegrania roli kulturalnej wśród naszych wydawców sprawia, że sprawa przekładów z literatur skandynawskich zależna jest od przypadku lub od sklepikarskich geszeftów". Oto np. tłumaczy się z niemieckiego okropne bzdury, w dodatku w strasznych wprost przekładach, która to tandeta przyczynia się do szerzenia złego smaku, natomiast mało się ukazało książek autorów niemieckich, prawdziwie wartościowych.

Księgarnie żydowskie produkują tłumaczenia Courths-Mahler, Kritza, Lederera, Zarka i t. p. należących do t. zw. „*Treppen-Literatur*", a mówiąc po polsku należałoby te książki wrzucać do śmietnika, bo Mniszkówna, Zarzycka, Łuczyńska, to klejnoty wobec tego niemieckiego śmiecia, dostarczanego nam przez księgarzy żydowskich i ich literackich kierowników i tłumaczy mojżeszowego pochodzenia.

Półki księgarskie zarzucane są ze szkodą dla dobrej książki również i utworami przeciętnymi tłumaczonymi z niemieckiego. „Można przeczytać z przyjemnością jedną powieść pani Vicki Baum—pisze referent działu niemieckiego—...ale nie ma dobrej racji przyswajania językowi polskiemu wszystkich jej utworów i wydawania ich kilkakrotnego, czasem tym samych pod zmienionym tytułem... To samo mniej więcej można powiedzieć o powieściach Ernsta Lothara, Hansa Fallady, Ericha Kästnera, Giny Kaus, Herminii zur Mühlen i Edmunda Finke".

Natomiast „nie ukazała się w języku polskim i zapewne nie prędko się ukaże najciekawsza i najgłębsza powieść niemiecka ostatnich czasów: „*Die Schlafwander*" Hermanna Borcha. Jej przekład angielski istnieje od czterech lat, ale nazwisko jej autora nie dotarło jeszcze do Warszawy: warszawska giełda przekładowa czerpie swe informacje ze źródeł tajemniczych i niedocieczonych". Referent dotknął tu największej bolączki naszego rynku księgarskiego. Rynek przekładowy całkowicie jest opanowany w Polsce przez żydów (wydawcy, kierownicy literaccy pism, tłumacze). Kiedy się z tego otrząśniemy? Czas już, aby zainicjować „Przytyk w literaturze".

Jak niebezpieczna jest gospodarka żydów na polu literackim, czy to w charakterze księgarzy-wydawców czy też autorów, bądź literatów, świadczy wypadek zanotowany przez Witolda Chwalewika w dziale literatury angielskiej. Panie Halina Niemirowska i Fr. Arnsztajnowa, o której niedawno pisał Piotrkiewicz, w przełożonym zbiorze Kiplinga opuściły całkowicie nowelę ostatnią, mającą za temat wpływ „międzynarodowego" żyda na politykę Angli za czasów Jana Bez Ziemi". Rzecz ciekawa czy tłumaczki zrobiły to z własnego impulsu czy też pod naciskiem wydawcy.

Niechlujny stosunek do oryginału trafia się nierzadko. Polski przekład „Przygody w Budapeszcie" Körmendi'ego ukazał się ze znacznymi skrótami. Opuszczenia i skróty ma też książka Bókaya („W obronie kobiety"), tłumaczona z węgierskiego przez Rezsö Silleia.

Zdarzają się gaffy takim nawet tłumaczom jak Boy czy Rogowicz i jest ich nieraz dość sporo. Ale rekord zdobyła tłumaczka Van der Meerscha („Grzech świata"). Natrafiwszy na La Tour d'Auvergne, a nie orientując się, że to nazwisko człowieka, tłumaczka najspokojniej napisała: „Wieża owernijska".

Mieczysław Brahmer, pisząc o przekładach z włoskiego, nadmienia: „musi się niekiedy podać w wątpliwość znajomość własnego języka".

Powstaje tylko kwestia: jaki to jest własny język większości tłumaczów i tłumaczek.

Przekład—to jest rzecz bardzo trudna. Należy doskonale opanować język, w jakim jest napisany oryginał, a niemniej także trzeba znać świetnie język na który się przekłada obcy utwór. Trzeba znać historię, kulturę i geografię kraju autora. Trzeba się orientować w środowisku, no i znać topografię miejscowości, opisywanych przez autorów. Odpo-

wiednio do tego należałoby się orientować we własnym społeczeństwie, to jest w polskim. Jest to zdawałoby się *minimum* wymagań, żeby dobrze gospodarzyć językiem polskim i żeby przekład stanowił pozycję kulturalną. Czy tym minimalnym wymaganiom odpowiadają te liczne tłumaczenia, jakie się w języku polskim corocznie ukazują? Śmiem wątpić, a razem ze mną wątpią i referenci poszczególnych działów „Rocznika Literackiego". Uwagi, jakie w „Roczniku" czytamy za każdym pojawieniem się nowego tomu, zniewalają do postawienia pytania: kiedyż nareszcie nastąpi jakaś kontrola produkcji wydawniczej? Koncesje wydawnicze powinny być oparte na *minimum* określonych zawodowych kwalifikacyj, jak koncesje np. na składy apteczne czy apteki. Należałoby wprowadzić jakąś selekcję tłumaczów z tym zastrzeżeniem, że oprócz odpowiedniego przygotowania mogliby być tylko Polacy.

Jest to *minimum* koniecznych wymagań, inaczej bowiem język ludzi czytających książki drukowane w języku polskim, stanie się jakimś żargonem, preparowanym przez żydowskich fabrykantów „pracujących" w księgarstwie i w literaturze. T. R.

## RUCH WYDAWNICZY

Mariusz Zaruski. „Z harcerzami na „Zawiszy Czarnym"". Lwów 1937. Książnica-Atlas.

Autor znany już w literaturze specjalnej, taterniczej oraz sportowej, nie po raz pierwszy zaprezentował klasę marynisty, ściślej mówiąc — dydaktyka morza, jeśli taki termin wytrzyma próbę czasu w odniesieniu do stopienia w jedno w psychice pisarza uzasadnionych ambicyj artystycznych z wyraźną tendencją nauczającą.

Sylwetka pisarska autora „Na morzach dalekich" oraz „Na bezdrożach tatrzańskich" zaciekawić musiała nawet w oderwaniu od jego perypetyj życiowych bogatego w przygody i peregrynacje wojenne i żeglarskie, podróżnika, żołnierza i sportowca. Uderza w niej niezwyczajne w rówieśnym pokoleniu umiłowanie swobody, wyrzucające poza nawias związanego i pozbawionego woli społeczeństwa, żądza wolności—najgłębsza przyczyna wędrówek i służby na morzu jak i potem osiągania trudnych szczytów górskich.

Natury bujniejsze w jakiś sposób w tej martwej epoce bytu narodowego musiały wyładować nadmiar energii i fantazji: właśnie w poszukiwaniu przygody. Szuka jej teraz Zaruski w otoczeniu młodzieży, którą zaprawia do ciężkiego zawodu żeglarza, budząc niejedną uśpioną energię i wyrywając z kręgu miejskich upodobań niejedną inteligencką wyobraźnię.

Tym pożyteczniejszą jego rola, że nie zdołano jeszcze w psychice zbiorowej wytworzyć poczucia—ścisłego związku jednostki z morzem i potrzeby tegoż w codziennym bytowaniu. Wciąż jeszcze, inaczej niż u narodów skandynawskich i anglo-saskich, zjawisko żywiołu morskiego jest dla nas czymś wyjątkowym i odświętnie niezwyczajnym. — Co dziwniejsze, że kadry żeglarzy śródlądowych, wychowane dawno przed wojną, w niczym nie przyszły tutaj z pomocą dla wytworzenia obyczaju a nawet poprostu nałogu myślenia i odczuwania—tęsknoty za słonym bryzgiem, twarz siekącym. Dopiero najmłodsze pokolenie poczyna odwracać się od żeglugi rzecznej i jeziorowej, ono może wprowadzić w czyn szumne i pięknie brzmiące hasła. Właśnie dzięki zasmakowaniu we włóczędze morskiej i uprzystępnieniu tejże, nietylko garstce wybranych: adeptom szkół morskich wyłącznie.

Niniejsza książka opowiada o podróżach, odbytych na szkolnym trójmasztowcu harcerskim w ciągu sezonu letniego do Londynu, Kopenhagi, Oslo w trudnych nieraz bardzo warankach i prawie bez użycia motoru. Składa się z szeregu rozdziałów o charakterze pamiętnikarskim, z małym uwzględnieniem strony anegdotycznej i materiału przeżyć instruktora i wychowawcy, z wyraźnym podkreśleniem jakby rubryki „z dziennika dowódcy". Wykazuje nieprzeciętne zalety formy stylowej i obrazowania oraz dojrzałej refleksji i zainteresowań filozoficznych. (ST. J.)

*

Przed kilkoma laty „Kurier Poznański" w swym dziale kultury poruszył i poddał dyskusji ważne zagadnienie: utworzenia wyższej uczelni polskiej na Pomorzu. Sprawa ta była poruszana w kilku jeszcze pismach, a stała się przedmiotem obszerniejszych rozważań na stronicach publikacji specjalnej („Sprawa wyższej uczelni na Pomorzu") wydanej przez Instytut Bałtycki w Toruniu.

Zabierają w niej głos—prócz dyrektora Instytutu, d-ra Józefa Borowika, dwaj jeszcze autorzy: Bernard Chrzanowski, dawny propagator przyłączeniu Pomorza do Polski, oraz świetny uczony prof. Józef Kostrzewski z Poznania. Dyskusja dotyczy dwóch zagadnień: 1) gdzie umieścić przyszły uniwersytet pomorski — w Gdyni czy Toruniu? 2) jaki ma być ustrój i zakres studiów w tym uniwersytecie? Niewątpliwie obiema kwestiami zajmą się i czytelnicy „Myśli" i głosy swe do nich przyłączą.

Nie przesądzając sprawy, piszący te słowa oświadcza się w pierwszej kwestii za Toruniem. Miasto to ma wiele szans przeważających: 1) położenie centralne, 2) starą tradycję naukową, reprezentowaną niegdyś przez Kopernika, dziś przez zasłużone Towarzystwo Naukowe Toruńskie, 3) wielkie zbiory biblioteczne, muzeum, zabytki cudnej architektury i rzeźby gotyckiej, 4) spokój pożądany w pracy naukowej, którego nie może zapewnić hałaśliwa Gdynia. Więc głos swój oddaję za Toruniem i proponuję przyszły uniwersytet toruński nazwać uniwersytetem Mikołaja Kopernika. Samo to imię wskaże poniekąd kierunek studiów. Powinny tam być wysoko postawione nauki ścisłe. Z humanistyki reprezentowane być powinny: języki obce, historia sztuki, historia kultury pomorskiej (zwłaszcza kaszubskiej), historia Pomorza i Prus, historia krajów bałtyckich. Wysoko stać powinna socjologia i historia handlu (zwłaszcza morskiego), dalej przyroda (szczególnie fauna morska). W dziale prawa powinno być szczególnie uwzględnione prawo międzynaroaowe. (J. B—r.)

# MUZYKA

## WIEŚCI Z PARYŻA

JUŻ TO trzeba przyznać, że do wieści z Paryża nie mamy w tym roku jakoś szczęścia. Najpierw sprawa pawilonu, która wywołała tyle dyskusji, oskarżeń, zarzutów. Potem niezakończona jeszcze sprawa P. E. N. Clubu, przykra, kompromitująca, wyjazd Słonimskiego, słaba reakcja na aroganckie wystąpienie delegata „żydowskiego centrum" (zadziwiająco trafny termin...) niejakiego Sternberga, wreszcie nasze festivale muzyczne. Ostatnie mają dotychczas dobrą prasę. Nawet bardzo dobrą prasę. Bo poprostu same sukcesy: chór katedralny pod batutą ks. Gieburowskiego musiał bisować w wypełnionej sali *Théatre des Champs Elysées* (w programie muzyka polska z XVI w., z współczesnych Maklakiewicz). W tej samej sali koncertowali z równie wielkim sukcesem Wanda Landowska i Artur Rodziński. Niechaj tu jednak brzmienia nazwisk nikogo nie wprowadzą w błąd.

I wogóle należy stwierdzić, że muzykę polską na wystawie nie w polskie oddano ręce. Dobrze jest, jeśli Landowska zdobyła się na tyle taktu, że w programie swojego wieczoru umieściła utwory naszych kompozytorów: Mielczarskiego, Sarzyńskiego, Podbielskiego, Jarzębskiego. Rodziński już się nie poczuwał do propagowania twórczości narodu za członka którego uchodzi zagranicą, gdzie zresztą stale przebywa. W programie swojego wieczoru umieścił czwartą symfonię Brahmsa, preludium i chorał Bacha—Stokowskiego, suitę Ravela oraz akompaniament (tylko!) do drugiego koncertu skrzypcowego Karola Szymanowskiego, wykonanie którego oddano niezawodnym rękom i wysokiej kulturze Eugenii Umińskiej. A więc— powtórzmy jeszcze raz — tylko akompaniament do koncertu Szymanowskiego. Rodziński, „znakomity mistrz batuty,—dziś najwybitniejszy obok Toscaniniego kapelmistrz świata" (cytuję słowa korespondencji) Michała Kondrackiego zamieszczonej w „Wieczorze Warszawskim") chciał się poprostu umocnić w opinii swej najwybitniejszego kapelmistrza świata również i na gruncie paryskim, a nietylko, jak dotychczas, amerykańskim jedynie Stąd program o znanych nazwiskach, ustalonych w słowniku muzycznym, no i efektowna suita łatwego Ravela. Echo wieczoru było ponoć głośne. Więc cieszą się i u nas ci wszyscy, którym to wystarcza.

Jeśli idzie o muzykę kameralną, nie lepiej jest a może nawet gorzej. Mała sala *Comedie des Champs Elysées*. Program: *trio* na flet, klarnet i fagot Bolesława Woytowicza kwartet smyczkowy Antoniego Szałowskiego, ale już świetny koncert Romana Maciejewskiego odegrał autor wraz z pianistą Krancem, a Umińskiej polecono odtworzyć sonatinę jakiegoś bliżej nieznanego Gradsteina, utwór podobno poniżej wszelkiej krytyki. W programie był jeszcze Palester a nie było (na szczęście!) „Suity polskiej" równie bliżej nikomu nieznanego Sz. Laksa. To znaczy, że miała być, tylko coś tak się stało...

Nie koniec na tym. Wykonanie honorowe symfonii koncertowej Karola Szymanowskiego powierzono Grzegorzowi Fitelbergowi, a Colette Frantz wykonała koncert skrzypcowy Jerzego Fitelberga.

Jeszcze jedna wiadomość. Henryk Goryng (jest taki) został odznaczony na dorocznym konkursie gry skrzypcowej. Cieszmy się.

Oto garść (spora...) wieści, które nadeszły z Paryża i którym prasa poświęciła wiele miejsca i wiele słów najcieplejszych. Nam one jednak radości nie sprawiły, przeciwnie kazały się zastanowić nad stanem naszej współczesnej kultury muzycznej, jakością ambicji współczesnego nam świata muzycznego polskiego i naszej polityki kulturalnej. Czy i w tym wypadku zastosowano słynną już, paradoksalną tezę prof. Lecha Niemojewskiego o antypropagandowej koncepcji jego — no, jednak... tak!—propagandy? Niewiara we własne siły u kierowników, administratorów imprez mających ukazać Polskę w Paryżu—to jedno, a pozatym wynik życia w jednym tylko światku, hołdowanie jednej tylko kapliczce (kapliczce?) dzisiejszego życia kulturalnego w Warszawie (na eksport „*Pologne Litteraire*"). Od czego są referenci propagandy wszędzie, w każdej ambasadzie, w każdym poselstwie? „Siostrzyca Francja" tak się nami interesuje, że aż trzy książki zeszłego roku przetłumaczyła na swój język. Jaki niebywały sukces!

Jeszcze przed kilku tygodniami przestrzegaliśmy na łamach „Myśli" przed gromadnymi popisami żydów w Paryżu na nasz narodowy rachunek. Byliśmy wówczas bodaj jedynym pismem, które zabrało głos w tej sprawie i dlatego może, że jedynym, możemy już teraz notować wieści przykre i być również pismem jedynym (tak! tak!), które śmiało prawdzie w oczy spojrzeć się nie boi i napisać co powinno—pisze. Jak jeszcze opinia publiczna mało reaguje!

Paryż — wiadomo — wielkie centrum świata i wielkie giełdy światowe, nie tylko pieniężne i towarowe. Więc się kręci tam wiadomy ludek opatrzony paszportami rozmaitych krajów, ale najlepiej czujący się w międzynarodowym środowisku. Pamiętacie ów skandal z wystawą rzeźby „genialnego" a mocno protegowanego żydziaka, który poprostu „przerabiał" odlewy gipsowe. Niedawno to było. Niedawno i głośno i... jakoś szybko ucichło. Charakterystyczne.

Sukcesy „muzyki polskiej" na *expo* stały się już faktem i nikt nie może nic w tym co było zmienić. Ale warto zanotować i zapamiętać. I wstydzić się.

W. NARUSZ

# ZMARLI

## Ś. P. Ks. STANISŁAW ZAPAŁOWSKI

Zmarł w Warszawie ks. kanonik Stanisław Zapałowski, długoletni proboszcz w Koziegłówku pod Częstochową, potem w Kielcach i Miechowie.

Urodzony w Szeligach koło Kunowa w Sandomierskim w r. 1864, z gimnazjnm kieleckiego przeszedł do miejscowego seminarium, które ukończył w r. 1884. Zasłynął ascetyzmem i żarliwością w spełnianiu swojej misji; pomocą mu był wybitny dar kaznodziejski. Gorliwie też spełniał obowiązki społeczne. Pamiętają go Koziegłowki jako tego, który wzniósł tam wspaniałej budowy świątynię, założył kasę pożyczkowo-oszczędnościową, sklep spółdzielczy, szkołę kroju i szycia, hurtownię (w Kielcach), czytelnię i bibliotekę, ochronkę, poradnię lekarską, Wszystko to tworzył pomimo ciężkich warunków politycznych za rządów rosyjskich.

Wspominamy o ks. Zapałowskim także i dla tego, że pochodził z rodziny, mającej dobrą tradycję ofiarnej służby narodowej. Dziad jego Jan, porucznik wojska polskiego walczył pod Stoczkiem, Grochowem, Wawrem, Ostrołęką. Zesłany do Wiatki, po powrocie do kraju dorabiał się dzierżawami w Opoczyńskim.

Syn jego Władysław brał udział w powstaniu 1863 r. Z zesłania syberyjskiego wrócił do kraju 1869 r. Ożeniony z Wandą Janecką z Szelig, dzierżawił w Świętokrzyskiem Rzepin. Od r. 1880 był reprezentantem handlowym firmy „Wojciechów" przez lat 25. Wiele pracował jako publicysta i pamiętnikarz.

W r. 1913 w Wilnie wyszły w druku jego pamiętniki z lat 1863 — 1870 w dwu tomach z przedmową Kazimierza Bartoszewicza. Są tam portrety rodziny.

Syn Stanisław, zmarły teraz kapłan, urodził się nazajutrz po zesłaniu ojca na Syberię. Na zmarłym kończy się linia męska tego rodu.

## Ś. P. STEFAN KRASZEWSKI

Dnia 20 sierpnia r. b. zmarł ś. p. Stefan Kraszewski, kierownik S. N. obwodu czyżewskiego, pow. Wysoko-Mazowieckiego, więzień polityczny, więzień Berezy Kartuskiej. Zmarł na skutek przygniecenia przez ciężarowy samochód żydowski, gdy wracał do siebie z uroczystości warszawskich, dnia 15-go sierpnia, w rocznicę „Cudu nad Wisłą".

Ś. p. Stefan Kraszewski, rolnik, pochodził z mazowieckiej szlachty zaściankowej, uosabiającej na przestrzeni wieków najwyższą klasę patriotyzmu, ofiarności i obowiązku w stosunku do spraw publicznych, które zawsze pierwsze miejsce przed prywatnymi zajmowały. Był z rasy tych, co to pieszo setki wiorst przychodzili, by na elekcjach dawać koronę swemu bratu—szlachcicowi, był z rasy tych, co to zawsze najlepszego żołnierza dawali chorągwiom, co czasu niewoli tworzyli partie powstańcze a dzisiaj stoją w szeregach rewolucyjnego nacjonalizmu stawiającego sobie za cel wielkość Narodu. Był z rasy polskiej.

Zmówcie: „Wieczne Odpoczywanie".

# NOWE KSIĄŻKI

Orzeszkowa Eliza. Meir Ezofowicz, t. II. Warsz. Geb. i Wolff.

Niepodległość, czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. Tom XVI zesz. I (lipiec-sierpień). Red. Tadeusz Szpotański.

Rocznik Literacki za rok 1936 pod red. Zofii Szmydtowej. Warsz. 1937. Instytut Literacki. Str. 277.

Mały Rocznik statystyczny 1937. Warsz. 1937. Główny Urząd Stat. Str. XXVIII i 401, oraz 4 mapy. Cena 1 zł.

Slavia. Roczn. XIV zesz. 3 (poświęcony Puszkinowi). Praga 1937.

Rocznik Gdański. Tom IX i X za 1935 — 36. Gdańsk. Tow. Prz. Nauki i Sztuki. Str. LII i 606.

Kossowski Mieczysław. Chłód drogi. (Poezje). Zamość 1937. Koło miłośn. książki.

Silesius Angelus. Pątnik anielski. Tłum. Adam Szczerbowski. Zamość 1937. Tamże.

---

Poprzedni numer (34) „MYSLI NARODOWEJ" uległ konfiskacie z powodu przytoczonej informacji lwowskiego „Dziennika Polskiego" (początek szpalty 2-ej).

# AKROBATYKA MASOŃSKA

JEDNYM z obowiązków dobrego masona jest bezustanna w otoczeniu swoim propaganda idei masońskich, z czego dbały o swoją karierę fartuszek stale wobec przełożonych swoich wykazywać się musi. Obowiązuje w tym zakresie taka zasada, że każdy mason powinien propagandę rozwijać przedewszystkiem w samym wątku swojej pracy zawodowej, ażeby tym sposobem światopogląd masoński promieniował ze wszystkich stron i na wszystkie strony życia ludzkiego.

Istnieją zawody, jak naprzykład publicystyka, w których wykonywanie tego obowiązku nie nastręcza trudności, alesą inne, w których wymaga zastosowania niesamowitych łamańców akrobaty, albo cynizmu błazna cyrkowego, jak oto w rozprawach matematycznych, przyrodniczych i tym podobnych. A jednak... nawet najbardziej naukowe postacie z szeregów braci fartuszkowej tak dobrze są wytresowane, że skaczą i wykrzywiają się ku własnemu nawet poniżeniu się i samoośmieszeniu.

Szczególnej pod tym względem uwadze masonów podlega, oczywiście, literatura, która popularyzuje naukę. Oddawna już niejednokrotnie napotykałem w niej tego rodzaju wyskoki, co narazie dziwiło mnie mocno, póki nareszcie nie odkryłem właściwej ich przyczyny. I teraz oto przypadkowo wpadła mi w rękę broszura popularna z zakresu otiatrii, a w broszurze znalazłem dobrze mi znany typ propagandowej akrobatyki masońskiej. Postanowiłem nie gubić tego znaleziska w niepamięci, więc dzielę się tu nim z czytelnikami, jako żywym przykładem jednej z wielu metod mafii międzynarodowej.

Autor — Żyd, niejaki dr. Dyonizy Hellin, profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej (naturalnie!). Tytuł broszury — „Ucho, jako narząd równowagi i orientacji". Żaden człowiek uczciwy i żaden rzetelny uczony nie zdoła sobie wyobrazić, jakim cudem w takiej monografii na pięćdziesięciu stronicach można znaleźć sposobność do jakiejkolwiek wycieczki politycznej, albo moralnej. Ale tresura masońska nawet do takich cudów uzdolnia, w czem tu, zresztą, duch żydowski własne swoje piętno wszechoszustwa także wycisnął.

W pewnym miejscu broszury, po wywodzie dotyczącym stosunku błędników ucha do poczucia ruchu i przestrzeni, autor pisze, co następuje:

„Z tego cośmy wyżej powiedzieli, wynika, że to, co nazywamy o j c z y z n ą, tyczy się tylko położenia na ziemi, lecz nie we wszechświecie, gdyż we wszechświecie stale zmieniamy nasze miejsce: być może że w stosunku do wszechświata znajdujemy się w tej chwili w tem miejscu, gdzie niedawno była np. Francja. Dalej wynika z tego, że niema w przyrodzie pojęcia góry i dołu, bo co w jednej pozycji wydaje się dołem, w drugiej wydaje się górą i naodwrót (por. rozdz. XI) a więc zasada, iż każdy musi być badany jego miarką, tyczy się nietylko świata moralnego, lecz i świata fizycznego". (Podkreślenia według oryginału).

Może autor nie wie, ale może i wie, jakie w tem miejscu głupstwo logiczne wypowiada, bo przecie o pojęciu ojczyzny rozstrzyga nie fizyczny, ale duchowy wogóle, a w szczególności — uczuciowy stosunek danego człowieka do danej ziemi, czyli, że miejsce jej równie na kuli ziemskiej, jak we wszechświecie jest tu sprawą całkowicie obojętną i niewspółmierną. Z tą samą, prawdziwie żydowską, logiką możnaby powiedzieć, naprzykład, „że to co nazywamy m a t k ą, tyczy się tylko położenia na ziemi, lecz nie we wszechświecie" i t. d. A drugi nonsens tkwi w zasadzie, która autorowi (zwolennikowi wszechwzględności) wydaje się bezwzględną, „że każdy musi być badany jego miarką". Zastosowanie tej zasady musiałoby zniszczyć wszystkie syntezy myślowe, a nadewszystko — wszelkie wartości i oceny moralne, czego natychmiastowym wynikiem byłaby zupełna anarchia ducha i życia.

Ale o to właśnie anarchizowanie społeczeństw od wieków usilnie zabiega żydowstwo i podległa mu masoneria. Nawet tak drobnemi czynami, jak pokazany tu wyskok owego otiatry, podważającego pojęcie ojczyzny, nie gardzi mafia złośliwa pomnąca na przysłowie o kropli, która drąży opokę. Jak od początku swojej historii, tak do dnia dzisiejszego żydzi fałszują wszystko od masła do religii, a w przyrodzonym oszustwie swoim nie pomijają najmniejszych życia przejawów.

Rozpoczęte obecnie usuwanie żydów z gospodarczego życia Polski załatwia tylko cząstkę sprawy żydowskiej. Na gruntowne odżydzenie oczekują jeszcze tak ważne dziedziny, jak polityczna i kulturalna, obie wszechstronnie przez żydów fałszowane i ośmieszane. I tu również potrzebne są nietylko hurtownie wielkich teoryj polskich ale i polski obrót detaliczny aż do straganów myślowych włącznie.

ST. P.

## NA MARGINESIE

— Pragnąłbym proszę pana, położyć podwalinę pod prawdziwą polską partię. Proszę poradzić.

— Program?

— Mam już dwie pierwsze litery PP — Polska Partia, ale co dalej?

— Było BB, niech będzie PP—to wystarczy.

— Pasowałoby: „Prawicowa", ale powiadają, że teraz modna będzie lewica...

— Syp pan na lewo, a że ziemia jest okrągła, to pan dojdzie do prawicy z tamtej strony, a do tego czasu moda napewno minie.

— Na pe?

— Na pe.

*

Naturalny porządek rzeczy wymaga, aby państwo miało rząd, ale nie żeby rząd miał państwo.

(„Depesza")

**TREŚĆ:**



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT ASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.